



*Alice White w przerwach między nakręcaniem filmu*

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

### W O D A

Wszyscy wiedzą, jakim wrogiem ładnej i czystej cery jest twarda i nieodpowiednia woda do mycia. Nic tak nie niszczy cery, jak woda zawierająca składniki żelaziste, siarczane, lub wapno w nadmiernej ilości. Dlatego, tam gdzie woda jest nieodpowiednia, trzeba ją odpowiednio przygotować i dopiero używać do mycia twarzy. Przegotować 1 — 2 litry wody, i wsypać do niej 1 łyżeczkę proszku *La Mollete*, który zmiękcza wodę i osadza części mineralne. Po paru godzinach można tak przyrządzoną wodą myć twarz, a nawet najdelikatniejsza cera będzie ją znosić dobrze. Bardzo dobrze jest, do tak przyrządzonej wody przed samem użyciem dodać łyżeczkę płynu *Abarid*, który ma własności utrzymywać matową, gładką cerę, i potęguje działanie proszku *La Mollete*.

*M-me ERCEDES.*

Środki tu wymienione nabywać można w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach.

### S K Ł A D G Ł Ó W N Y:

*Perfumerja Perfection, Szpitalna 10, w Warszawie.*

312588/2      60, —

## Treść Numeru 53-go

	<i>Str.</i>
<i>Zygmunt St. Klingsland:</i>	
Charlie Chaplin na ekranie życia (7 ilustracji) . . .	3—16
<i>W. Szyszło:</i>	
Na koncesjach polskich w Peru (9 ilustracji) . . .	17—32
Ilustracja . . . . .	33—34
<i>Bolesław Szczyt:</i>	
Radjo w niebie (7 ilustracji K. Mackiewicza) . . .	35—60
Ilustracje . . . . .	61—68
Uśmiech Mistinguett (6 ilustracji) . . . . .	69—76
<i>Eugenjusz Krosnowski:</i>	
Polscy podróżnicy na Altaju (10 ilustracji) . . . . .	77—94
<i>Z-cki:</i>	
Epidemje obłędu (6 ilustracji) . . . . .	95—108
<i>J. Meissner:</i>	
Ola (5 ilustracji W. Ujejskiego) . . . . .	109—128
Ilustracja . . . . .	129—130
<i>Stanisław Małachowski-Łempicki:</i>	
Znaki łóż polskich (13 ilustracji) . . . . .	131—142
Ilustracja . . . . .	143—144
Rozwój włoskiego lotnictwa handlowego (1 ilustracja) . . . . .	145—148
Ilustracja . . . . .	149—150
<i>Fritz Barr:</i>	
Milcząca kochanka (2 ilustracje M. Walentynowicza) . . . . .	151—156
<i>Olgiard Krukowski:</i>	
Co to jest kręgarstwo (4 ilustracje) . . . . .	157—164
Rozrywki umysłowe (4 ilustracje) . . . . .	165—170
Z teki humorysty (2 ilustracje Z. Berenta) . . . . .	171—174
Odpowiedzi grafologa . . . . .	175—176
<i>M:</i>	
Nauczanie języków przez gramofon (1 ilustracja) . . . . .	177—178

*Okladkę kolorową wykonał X. Koźmiński*

---

### Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 122-14

Telefon ekspedycji 104-32

Redaktor przyjmuje interesantów w *czwartki i soboty*  
od godz. 13 do 15

Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 13

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi  
6 zł. 50 gr., zagranicą 10 zł 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 2 zł. 50 gr.



3975/86

wzrus

# NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 53.

WRZESIEŃ 1928 R.



Dworek szlachecki...

Photo-Plat

X-12665

4549 /

11



Charlie Chaplin w domu

K-86/3975

28.5/540

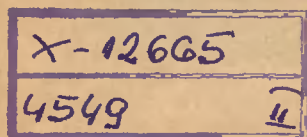
(nr 53, 166-167, 173, 175-180)

## Charlie Chaplin na ekranie życia

Hollywood — Chicago — New-York — Londyn — Paryż — Berlin i zpowrotem. Przyznać należy, że jest to marszruta banalna, i nawet bardzo. A jednak opis tej podróży czyta się z niezmiernym zainteresowaniem. Bo to książka Chaplin'a? Bez żadnego snobizmu odpowiedzieć można: tak. Właśnie dlatego. Przedewszystkiem dlatego. Chaplin'a małowówność jest o wiele jeszcze większa, aniżeli przysłówiowy lakonizm normalnego anglo-sasa. Wrodzona nieśmiałość, na którą on sam się uskarża, czy też „déformation professionnelle”, jak wolno byłoby przypuszczać? O tem później, chwilowo zaznaczyć tylko wypada pewien szczegół, dosyć znamienity: Chaplin jest bezwzględny przeciwnikiem synchronizowania,

w najdoskonalszej chociażby postaci, głosu i obrazu dla celów kinematograficznych. „Już większy sens miałyby kładzenie szminki na policzki w marmurze wykuwanych głów! Kino jest sztuką nawskroś pantomimiczną. Dodać słowa, byłoby skazanie wyobraźni na zupełną beczynność. Czemuż w takim razie nie wrócić poprostu do teatru?...” I jeszcze jedna — wyjątkowo charakterystyczna — uwaga Chaplin'a o sobie samym: „Ja nie umiem obserwować inaczej, jak w biegu (sic!). Zdolny jestem chwycić i utrwać w swoim umyśle spostrzeżenia tylko błyskawicznie szybko. Albo dojrzę wszystko w przeciągu 10-u minut, albo niczego wogóle nie zobaczę...” Naturalny przeto nawet stosunek Chaplin'a do otaczającej go rzeczywistości





*Hamletowskie zapatrzenie Chaplina*



620,- 25.



Chaplin w „Chantecler'ze”

posiada już wszelkie cechy kinematograficznej, że się tak wyrazić, wrażliwości zarówno zmysłowej, jak i uczuciowej. Jeszcze jaskrawiej „filmową” zaś stała się cała jego psychika i sposób patrzenia na świat z biegiem czasu, dzięki sprowadzeniu wszystkich pierwiastków twórczych do jednego wspólnego mianownika, wyłącznie kinematograficznego.

A teraz kilka elementarnych przesłanek logicznych. Chaplin jest absolutnie jedną z najpotężniejszych indywidualności twórczych i odtwórczych w dziedzinie sztuki kinowej. Kino jest najdoskonalszą bodaj formą obiektywnego syntetyzowania współczesnego życia w jego wszelkich, tak różnorodnych przejawach zewnętrznych. Życie obecne jest — ściśle rzecz biorąc — nieustanną walką człowieka z czasem i przestrzenią, walką, której wysiłek geniuszu ludzkiego zwiększa napięcie, rozmiar i szybkość. Człowiek Zachodu, a zwłaszcza Amerykanin, ob-

darzony jest wrażliwością, najsilniej reagującą na wydarzenia, rozgrywające się w minimalnym okresie czasu na maksymalnej ilości przestrzeni. Tempo czysto pantomimicznego ruchu jest najdokładniejszym miernikiem dynamicznej wartości dzisiejszego patosu. I dlatego już a priori powiedzieć można, że książka Chaplin'a jest niezmiernie cennym dokumentem czasu, odzwierciedlającego Rzeczywistość w skrócie, odpowiadającym całej istocie naszego życia, w skrócie kinematograficznym.

Dowody? Znaleźć je można na każdej niemal z 230-u stronnic z których składa się jego pamiętnik podróży. Wziąć, dla przykładu, fragment pobytu Chaplin'a w Chicago, gdzie spotkał się on ze swoimi serdecznymi przyjaciółmi, Doug' Fairbanks'em i Mary Pickford. Dawano premierę filmu; „Trzej Muszkieterowie” z Douglas'em w roli d'Artagnan'a, o wymówieniu się więc z pójdźcia razem na przedstawienie mowy wcale nie mogło być. „Udaliśmy się do teatru wspianiałym samochodem

pani Condé Nast. Olbrzymi tłum zalegał ulicę na przestrzeni wieluset metrów. Dumny byłem z tego, że jestem aktorem kinematograficznym. Po drodze witają nas burzliwymi oklaskami, Douglas'a, Mary i mnie. Tak, jestem dumny z mojego zawodu kinowego. Usiłuję nadać twarzy wyraz godności. Wywołuję na usta moje „uśmiech okolicznościowy”, tak charakterystyczny dla mnie, ale tym razem jest on najzupełniej szczery, bez żadnego przymusu. Wysiadamy z auta. Otacza nas mrowie ludzkie. Doug' chwytą Mary pod rękę i toruje sobie poprzez tłum drogę, jak gdyby powtarzał scenę z jakiegoś filmu i miał do czynienia ze zwykłymi statystami kinowymi. Ja idę za jego przykładem i podaję ramię pani Nast. Raczej, miałem zamiar to zrobić, gdyż w tej chwili fala tłumowi uniosła ją daleko naprzód, w stronę 8-ej Avenue, ja zaś począłem cofać się — bez żadnej widocznej przyczyny — w kie-



runku Broadway. Zostałem uniesiony przez tłum i pchnięty ku wejściu do teatru, nie czułem się już tak dumny, jak przedtem. Uśmiechałem się jeszcze do najdroższej publiczności, był to wszakże już, faktycznie, „uśmiech okolicznościowy”. Zdałem sobie z tego sprawę i próbowałem odzyskać naturalną wesołość. Pojawiający się na ustach moich szczerzy uśmiech stłumiła jednak niespodzianie pięść policjanta. Nie lubię smaku pięści policyjnej. Na moje nieszczęście, powiedziałem mu to bez ogródek. Spiorunął mnie wzrokiem i zwałił błyskawicznie szybko z nóg. Kapelusz mój poleciał wysoko, do nieba. Nie widziałem go już więcej nigdy. Czuję przeciąg. Słyszę brzęk metalu. Spoglądam poza siebie. Jakaś niewiasta, uzbrojona w nożyce, zajęta jest wykrawaniem dziury w najintymniejszej części moich spodni. Inna chwyta mój krawat i kładzie niemal kres moim cierpieniom, dusząc mnie starannie. Kołnierzyk spotyka ten sam los, ale tylko połowa jego została w rękach moich wielbicielek. Koszula wyszła mi nawierzch, oberwano mi wszystkie guziki od kamizelki. A mimo to, potrafiłem zdobyć się na „uśmiech okolicznościowy”. Skoro tylko jednak chciałem wznieść się ponad poziom tego szablonowego wyrazu radości, przywołany byłem do porządku uderzeniem pięści policjanta. Utrzymywałem się trwale, że jestem Charlie Chaplin, że mam prawo wejść do teatru i że powinienem koniecznie zobaczyć „Trzech Muszkieterów”. Nalegania moje odniosły w końcu należyty skutek. Raptem poczułem się w powietrzu, głową zwrócony w stronę schodów, nogami zaś dotykając reklamy świetlnej. Za progiem zdołałem upaść do stóp jakiejś wybrylantowanej matrony, której złożyłem w hołdzie najbardziej czarujący z moich „uśmiechów okolicznościowych”. Spojrzenie wszakże, którym mnie ta czcigodna pani obrzuciła, pozbawione było wszelkich oznak sympatii. Z nosem na kwintę

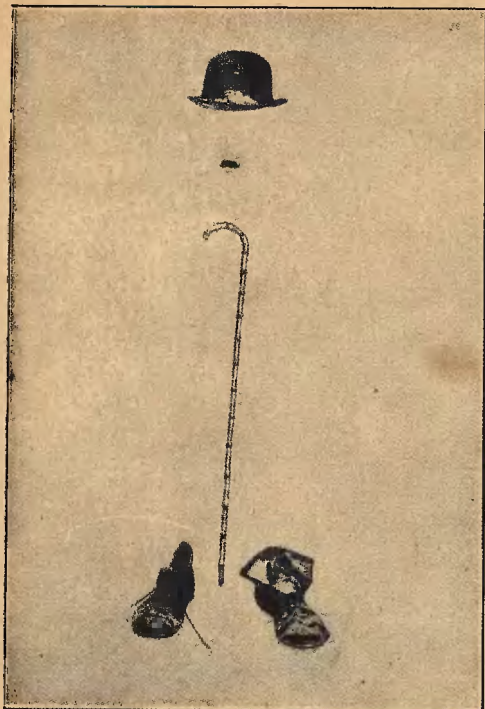
udaję się do zarezerwowanej dla nas łoży, usiłując po drodze zebrać całą moją energię i resztki znieważonej tak dotkliwie godności. Mary siedzi już wytworna i piękna, jak zwykle. Pani Condé Nast odzyskała spokój i zapomniała o przeżytych emocjach. Douglas, ubrany jak z igły, rozpiera się wygodnie w fotelu. „Znowuż spóźniony”, mówi wyraźnie wzrok ich trojga, ku mnie skierowany...” Kinematograficzne ujęcie tematu, kinematograficzna technika spostrzeżeń, kinematograficzny styl opisu są tak znamienne, że nie wymagają chyba żadnych komentarzy dalszych.

„...nawet clown miewa normalne chwile w swoim życiu, i właśnie takiego odpoczynku pragnąłem dla siebie” — tym względem tłumaczy Chaplin udanie się w daleką podróż. Nie jest on wcale hipokrytą, i z pewnością chęć zapomnienia — na pewien przynajmniej czas — o „świecie kinematograficznym i o jego atmosferze” skłoniła go do wy-



Chaplin w swoim „cyрку”





*Czyż zły portret Chaplina? (Jego atrybuty)*

jazdu z Hollywood. Było to jednak założenie czysto teoretyczne, wystarczyło bowiem, by w jakimś mieście, lokalu czy środowisku obecność jego, jako Chaplin'a, nie była natychmiast zauważona i odpowiednio entuzjastycznie fetowana, a już w notatniku pojawia się lakoniczna uwaga: „Przyznaję, że było mi to przykre”. Próżność? Bynajmniej! Konieczność życia w pewnych, ściśle określonych warunkach zewnętrznych, sztucznych — w pojęciu całego szeregu ludzi, naturalnych — dla człowieka o potężnej indywidualności aktorskiej. „Nie mogę uciec od Chaplin'a”, przyznaje się on sam bardzo otwarcie. A Chaplin lubi niezmiennie tłum, lubi do tego stopnia, że nie może się bez jego oklasków obyć, że przewyższa nawet wrodzoną nieśmiałość „sentymentalnego pajaca”.

Niesprawiedliwy to epitet — uczuciowość Chaplin'a jest głęboko mądra, wyjątkowo subtelna i posiada — nie tylko w kinie, ale i w życiu — wzruszająco piękne odruchy. Podczas pobytu w New-York'u zwiedza on

słynne więzienie tamtejsze „Sing-Sing”, „urągające pojęciu cywilizacji”, więcej jeszcze: uzyskuje bezpośredni dostęp do skazańców. „Uprowadzeni oni zostali o mojej wizycie. Większość zdaje się znać mnie już oddawna. Jestem skrepowany ich widokiem. Cóż mogę im powiedzieć? Czynię poprostu gest ręką: „Jak się macie, drogie chłopcy!” Do diabła wszelka rozmowa. Będę sobą samym. Zmuszę ich do śmiechu. Kręcę laseczką, żongluję kapeluszem. Kopię się własną nogą. Robię komika. Utrafiam w potrzebny ton. Aby nie sentymenty, kazania, morały... Wchodzimy do celi dla przestępców, którzy, już nawet w więzieniu będąc, popełnili nowe wykroczenia. „Ten drab usiłował czmychnąć stąd. Wdrapał się aż na dach. Musieliśmy tam za nim gonić”, tłumaczy strażnik. „Tak, to była zupełnie scena z kina”, dodaje młodzieniec w kajdanach z widocznym zaskopotaniem. „Wszystko jedno, świetny typ”, wyznaje głośno i, żegnając się, życze mu „więcej szczęścia przy następnej ucieczce”. Lody są ostatecznie przełamane. „Dziękuję. I za wizytę dziękuję, Charlie, bardzo serdecznie — sprawiła mi ona wielką przyjemność...” Cóż dziwnego, że „Pielgrzym”, tragi-komiczna epopea uciekiniera z „Sing-Sing'u”, jest jednym z najlepszych filmów Chaplin'a?!...

Wogóle współczuje on gorąco niedoli ludzkiej we wszelkich krajach, narodach i postaciach, poświęca zawsze dużo czasu na jej badanie w ciągu swoich nocnych wędrówek po Londynie, Paryżu, Berlinie, etc., i odnosi się z bardzo serdeczną wyrozumiałością do win i grzechów ludzkich, popełnianych w nierównej walce o byt. Może dlatego więc przypisują mu żydowskie pochodzenie, niemoralny tryb życia, bolszewickie przekonania... Przypuszczenia błędne, insynuacje złośliwe, wieści nieprawdziwe. Bo te sympatie dla Żydów, które wyraźnie przebijają się w różnych powiedzeniach Chaplin'a, noszą właśnie znamiona chrześcijańskiego raczej filosemityzmu „bezinteresownego”. Jego bliskim przyjacielem jest Max Eastman, znany komunista amerykański i redaktor naczelnny nowojorskiego „Liberator'a”. „Spotykamy się, prowadzimy ożywione spory, dochodzimy do porozumienia, że się nigdy nie porozumiemy, przerywamy dyskusje i pozostajemy przyjaciółmi...”





*Charlie Chaplin w życiu codziennem*



„Cyrk Chaplin'a”

Podróż po Europie daje Chaplin'owi sposobność zapoznania się z całym szeregiem swoich przyjaciół, o których istnieniu wo-

góle nie miał do tego czasu żadnego pojęcia... Nawet w Londynie, gdzie przyszedł na świat i gdzie zarabiał, jako praktykant u fryzjera. Nawet w Paryżu, gdzie występował niegdyś na scenie „Folies Bergères”, i gdzie nieznanomość języka utrudnia mu porozumiewanie się z ludźmi. Nawet w Berlinie, „gdzie dotąd nie wyświetlano jeszcze moich filmów i gdzie nigdy nie słyszano o mnie, co mi jest przykre”. Zdaje on sobie jasno sprawę z tego, że są to — wszyscy, bez wyjątku — przyjaciele „sławnego Chaplin'a”... Dochodzi do przekonania, że nie zdoła już „uciec od Chaplin'a”, jak to sobie obiecywał był, wyjeżdżając z Ameryki. Stwierdza to z odrobiną melancholji i... z wielkim zadowoleniem. O tej właśnie, tak licznej armii nowych przyjaciół myśląc, depeszuje Chaplin z drogi do Hollywood, że pragnąłby jak najprędzej wziąć się do pracy nad nowym filmem, który „mógłby zrodzić uśmiech w zmęczonych oczach Kennington'u, Whitechapel'u i innych środowiskach nędzy ludzkiej...”

Zygmunt St. Klingsland

(Charlie Chaplin: „Mes Voyages” w przekładzie P. A. Hourey'a. Wydawnictwo: Kra, Editeur, Paris).

## JĘZYKI OBCE

bez pomocy nauczyciela. Przy zastosowaniu zdobyczej techniki, każdy u siebie w domu nauczy się dowolnego języka obcego w jego najdoskonalszej wymowie. Prospekty wysyła bezpłatnie

„LINGUAPHONE INSTITUTE”

WARSZAWA, TRĘBACKA 11, TEL. 326-08.

Lekcje pokazowe od 7 i pół do 8 i pół wiecz.  
w poniedziałki i środy.





*Widok koło ujścia Sepahua*

# Na koncesjach polskich w Peru

W dziewiczych lasach rzeki Ukajali

Napisał

W. Szyszło

Koncesje polskie w Peru obejmują olbrzymią przestrzeń, prawie tak wielką, jak połowa Belgji, naogół 15 tysięcy kilometrów kwadratowych, i rozpościerają się od górnych dolin rzek Tambo i Urubamby pod 12 stopniem szerokości, aż do Dolnego Ukajali, utworzonej przez obydwie wyżej wspomniane rzeki pod 8 stopniem szerokości. A zatem przez 4 stopnie szerokości, czyli przeszło 400 kilometrów, bądź po jednym brzegu, bądź po drugim, sięgając w głąb kraju od 35 do 50 kilometrów, ciągną się terytorja, przyznane na kolonizację polską przez Rząd Rzeczypospolitej Peru.

Cała dolina Ukajali i jej porzeczka pokryta jest niezmiernymi lasami dziewiczymi, których wygląd jest różny, zależnie od na-

tury gruntu i powierzchni. Na południu w porzeczce Tambo i Urubamby, które, łącząc się, tworzą Ukajali, tereny są faliste, podzielone licznymi pasmami górskimi, wznoszącymi się do wysokości 3 tysięcy metrów i wyżej. Wielki łuk, jaki zakreślają Tambo i Urubamba w dolnym ich biegu, jest naogół bardzo mało zbadany jeszcze z powodu trudności komunikacji i braku siedzib ludzkich w pobliżu. Niektórzy podróżnicy mniemają, że istnieje tam płaskowzgórze, z którego schodzą tylko nieliczne strumienie górskie. Polska Komisja Badawcza wykazała, że część ta jest pokryta równinami stepowymi, przeplatanymi lasami w dolinach rzek. Im dalej na południe, tem góry są bardziej pionowe i wysokie, im dalej na pół-





Nad Inugą

noc, tem doliny są szersze, i kraj traci wygląd górzysty. Ale nawet kraj pastwisk Gran Pajonal na zachodzie Górnego Ukajali i dalej ku północy, między dopływem jej Pachitea a główną rzeką, wznoszącą się na wysokie szczyty, często na dawniejszych mapach nieoznaczone, które sięgają 3 tysięcy metrów wysokości, i z których spadają miejscami, tworząc wodospady, liczne strumienie górskie. Na wschód od Ukajali ciągną się góry Canamama, których wzniesienie nie jest jeszcze znane, ale zdaje się, że nie przewyższa 1000 metrów. Na północ od 6 stopnia szerokości niema już gór zupełnie, i panują tam wszechwładnie niziny, właściwe dolinie Amazonki. Między rzeką Ukajali i Huallagą, na zachód od tej pierwszej, mamy niziny zwane Pampas del Sacramento, które są fali-

ste na południe od 6 stopnia szerokości, a zupełnie płaskie na północ i w całości pokryte lasami. Główna rzeka koncesji polskiej — to potężna Ukajali, dochodząca do 2000 kilometrów długości, jeśli się zmierzy dolinę jej od źródeł Urubamby lub Apurimac, gdyż nie jest ustalone, jaka rzeczywiście rzeka jest ważniejsza. W Peru uważa się, że Ukajali jest stworzona przez Tambo i Urubamba. Obydwie te rzeki płyną bardzo szybko i mają na terenach koncesji polskiej szerokość od 200 do 600 metrów. Na koncesji polskiej obydwie te rzeki są spławne przez 6 miesięcy w roku.

Ukajali jest spławna od 6 do 9 miesięcy w roku. Ma wiele wirów, z których jeden, zwany Djabelskim, jest często trudny do przebycia. Odznacza się ilością porohów i wysp, które zalegają jej koryto szerokie nieraz na kilka kilometrów. Na północ od 10 stopnia szerokości wygląd Ukajali przybiera już nizinowy charakter, i po obydwóch jej brzegach znajdujemy wielkie jeziora, które w czasie przyboru wód rozlewają się na milę szerokości i stanowią komunikację z innymi rzekami po-

bliskimi. Osady ludzkie wznoszą się tam zwykle na pewnych wyniosłościach. Im więcej ku północy — tem wylewy, Ukajali są bardziej niebezpieczne, i nieraz różnica poziomu wielkich i niskich wód wynosi tam 20, 25 i 30 metrów.

Ukajali poczyną wzbierać już we wrześniu, gdy topnieją śniegi na Andach i deszcze zaczynają padać codziennie. Wody jej wzbierają powoli aż do miesiąca stycznia, gdy nagle zaczyna się wielki przybór wód, który zwykle przychodzi zupełnie znienacka, i w ciągu jednego lub dwóch dni wody wzbierają na 10 do 15 metrów, uderzając gwałtownie o brzegi rzeki, unosząc i odrywając nieraz całe pagórki, lasami porośłe, które stają się potem pływającymi wyspami. Wkrótce znowu wody silnie opadają,



a później rzeka powoli powraca do swego zwykłego poziomu w kwietniu lub maju. W czerwcu i lipcu podczas suchego lata jeziora i kałuże nadbrzeżne wysychają, liczne wyspy i zasypy wyłaniają się z koryta rzeki, a małe wyspy łączą się w wielkie, liczące czasem kilkanaście kilometrów długości.

Klimat Ukajali naogół jest przyjemny, co potwierdzają wszyscy podróżnicy, i wykazuje pewne różnice między Górnem i Dolnem korytem. Na północ od Djabelskiego Wiru, czyli na północ 10 stopnia szerokości, klimat jest gorący, nietyle z powodu bliskości równika (co pod zwrotnikami prawie żadnej roli nie odgrywa), ale z powodu charakteru nizinowego tych okolic północnych. Sąsiedztwo Andów i niska ciepłota wód Górnej doliny Ukajali wpływa niewątpliwie na zmniejszenie gorąca więcej, niż samo położenie geograficzne, gdyż nie należy zapominać, że w Brazylii pod 15 stopniem szerokości w Matto Grosso, klimat jest tak gorący jak nad Amazonką, a gorętszy, niż nad Ukajali, choć dolina tej ostatniej rzeki leży bliżej równika. Pory roku są tylko dwie: sucha i deszczowa, różnica ciepłoty między niemi jest minimalna, i jedynie różnią się obfitością deszczów, które padają i podczas suchej pory roku, bo 3 albo więcej dni bez ulewy są rzadkością. Burze są bardzo częste, zwykle po południu, ranki są często pogodne, i nawet podczas pory deszczowej są dni bez deszczu. Zdaje się, że dolina Urubamby posiada suchszy klimat, niż Ukajali. Poza tem ponieważ na koncesjach polskich zdala od rzek są i góry, a zatem niewątpliwie, że muszą tam być klimaty doskonałe, zupełnie podobne do klimatu Włoch Południowych i przypominające klimat Parany, z tą tylko różnicą, że są to klimaty wilgotne.

Świat roślinny występuje wszędzie w największym przepychu. Najbogatszą roślinność posiada dolina Dolnego Ukajali i jej dopływów, nad którym olbrzymy

leśne dorastają wysokości stu, stu pięćdziesięciu i podobno aż 200 stóp. Jest dotąd przeszło 5 tysięcy znanych gatunków drzew i roślin różnych, z czego na same palmy wypada w dolinie Ukajali 70 gatunków. Oprócz drzew użytecznych, stolarskich lub farbiarskich, jest mnóstwo okazów dziwnych, o charakterze wybitnie egzotycznym. Rośnie tu heban, palisander, drzewo różane, drzewo krwawe, drzewo tygrysie, mahoń, cedr liściasty, drzewo balsamowe, olbrzymy leśne, jak: cocobolo, luprina, aguano, drzewo żelazne, którego siekierą urąbać nie można. Są drzewa, dające gumę, inne, dające mleczny sok, inne rośliny dają po nacięciu pnia płyn podobny do wody, inne służą jako świece lub pochodnie.

Niektóre drzewa nie mają wcale liści, inne



*Dopływ Górnego Ukajali*



są zupełnie puste wewnątrz swych pni i utrzymują się zapomocą napowietrznych korzeni. Jest też drzewo śmierci, które jest tak szkodliwe, że dość dotknąć się jego, aby dostać ciężkiej choroby, a spanie w jego cieniu ma grozić śmiercią. Nazywa się „ityl”. Jest wielka ilość drzew o własnościach leczniczych: sarsaparylla, drzewo chininowe, viborilla, używane przeciw jadowitym węzom, tintauma przeciw liszajom, setico przeciw jadowi ryb, saura przeciw chorobom sercowym, satapi środek na wymioty, sanango przeciw chorobom krwi, renaco przeciw żółtacze, pumakiro przeciw oparzeniom i t. p., których naliczyćby można tysiące. Jedną z najciekawszych rodzin jest ljana, zwana tamisz, gdyż rodzi się ona z żołądka wielkich mrówek; rzadki to wypadek współżycia roślin i zwierząt. Długo czas myślano, iż rzeczywiście roślina ta rodzi się z mrówek, dopiero niedawno zauważono, że mrówka zjada siemię ljan, w żołądku mrówki siemię zaczyna kiełkować, sprowadzając śmierć mrówki. Wędrując po lasach Ukajali, można zobaczyć olbrzymie ljan tamisz, zwieszające się z najwyższych drzew, a przy końcu każdej, u góry, niezawodnie znajdzie się martwą

mrówkę, przyrosłą korzeniem ljan do gałęzi. Najwięcej imponują lasy dziewicze wielką ilością ljan i pasorzytów, storczyków i przedziwnych roślin, zwieszających się z pni drzew stuletnich. Na jednym drzewie często można naliczyć aż sto różnych drzew lub roślin mniejszych. Niektóre ljan mają pnie tak grube, jak nasze wielkie sosny, inne znowu są tak cienkie, jak nici, a jednak twarde.

Największe drzewa rosną w głębi kraju na pewnem wzniesieniu. Ale czasem na wyspach, jakimi usiane jest koryto Ukajali, oglądać można fikusy i bombaksy, do stu stóp wysokie, a do 30 stóp obwodu mające.

Świat zwierzęcy również jest ciekawy, jak roślinny; do zwierząt największych należą tu tapiry, niedźwiedzie, jelenie, jaguary, pumy, kapibary, lamantyny, czyli krowy rzeczne, leniwce, pancerniki, mrówkojady, wiele rodzajów małp, z których najwięcej hałaśliwe są wyjce, a najpiękniejsze tak zwane lewki z główką, przypominającą małego lwa. Spotyka się cztery gatunki alligatorów, z których najpospolitsze są koloru białego. Najwięcej niebezpieczne są alligatory czarne, które napadają na kąpiących się w rzece: dochodzą one do czterech me-



Nad rzeką Tambo





*Koleją do Limy*

trów długości. Są okazy i po 6 metrów. Różnych jaszczurów o formach dziwnych jest bardzo wiele, bazyliuszki, jadowite gekko, pełzające po ścianach, a trupią głową opatrzone, legwany przeróżnych gatunków o kolczastym grzbiecie, które dochodzą do 3 metrów długości, ropuchy i żaby, wielkości stopy ludzkiej. Lasy te są ojczyzną węży wszelkich rodzajów od grzechotnika i straszego „fer de lance” aż do małego koralowca. Należy zaznaczyć, że wypadków napadów lub ukąszeń przez węże w Peru jest bardzo mało, i zrzadka się o tem słyszy, choć niewątpliwie węże jadowite są tu reprezentowane w kilkudziesięciu gatunkach. Ale węże te naogół są bardzo łagodnie — nawet wielkie okazy — i zwykle ukąszenia następują na skutek nieostrożnego nastąpienia na nie.

W miejscach suchych spotyka się grzechotniki, głównie w dolinie Urubamby, gdzie grunt jest kamienisty, pokryty złomami granitu. Są też i niebezpieczne pająki-ptaszniki, tarantule i ohydne tysiąconogi, które dochodzą do jednej stopy długości i zadają śmiertelne ukłucia. Ale w okolicach Ukajali są one rzadkie, grasując przeważnie nad

Górną Amazonką. Osobny ustęp należałby się rybom, których gatunki liczą się na krocie. Niektóre ryby w Ukajali ważą kilka kwintali, jak słynne „paicze”, które stanowią jedno z głównych pożywień mieszkańców. Są ryby, które mogą żyć ponad wodą w mule rzeczny i podobno wydostawać się na brzeg. Inne, jak strętwy elektryczne, zadają silne urazy przy dotknięciu. Niektóre ryby są jadowite, jak płaszczyki amazońskie, inne znowu, jak canero (rodzaj węgorza), wciskają się do najmniejszego otworu w ciele ludzkim i są bardzo niebezpieczne. Inną rybą, która zawsze napada setkami sztuk, jest rekin rzeczny, czyli piranja, mała rybka, wyrrywająca kawałki ciała, której obecność jest groźna daleko od brzegu. Węże wodne, czyli olbrzymie boa wodne, nigdy nie napadają, dochodzą 12 metrów długości. Ja miałem sposobność ośwoić okaz długości 4 metrów, który był tak niewinny, że dzieci moje po tułowi jego spokojnie chodziły. Ptaków jest wielkie mnóstwo, począwszy od papug i ar, skończywszy na kaczkach i różnych ptakach nocnych oraz przepięknych kolibrach. Niektóre gatunki mają kolce ukryte w skrzydłach, któremi się bronią, jak dziw-

ny ptak camungui, rżący jak koń, a ptaki, podobne do przepiórek, inne, podobne do indyków, dają smaczne mięso. Są też sokoły, polujące na kury i drób domowy. Najlepsze dla myśliwych są ptaki pauhil i montete. Ptak, zwany pumagarza, wydaje głos podobny do myczenia krów. Do bardzo ciekawych okazów należą tukany, tanaury i tunki, odznaczające się wspaniałymi barwami upierzenia. Inną osobliwością jest ptak-parasol, mający rodzaj wachlarza czy parasola, dowolnie otwierającego się i zamykającego się nad

jest jadowite. W lasach mnóstwo termitów, czyli mrówek białych, które toczą drzewo i meble, i od których można się zabezpieczać, smarując dziegciem ściany domów. Inne mrówki *Oecodoma* niszczą wszelkie rośliny. Mrówki izule, czyli czako, wędrują po lasach i pożerają wszystko, na co natrafiają. Stada ich składają się z miliardów mrówek, idących w prostej linii na kilkaset metrów długości, a na kilka metrów szerokiej; mrówki idą w szyku bojowym, poprzedzane przez swych dowódców w równomiernych odste-



*Nad Dolnem Ukajali*

głową. Miejscowa jego nazwa jest janatiruki, a naukowa — *Cephalopterus ornatus*.

Najprzykrzejszymi okazami świata zwierzęcego są owady Montanji, poczynawszy od mrówek setek rodzajów, a skończywszy na muchach, komarach i moskitach. Jest wiele gatunków pszczoł, z których *Melipona* dają miód biały, inne pszczoły, czarne, dają miód czyszczący. *Aguocha* jest to tysiąconóg, dający leczniczy olej zielony. Miód, zrobiony przez osy lechiguana, paraliżuje wszelkie ruchy ciała. Z mrówek największe są coques, mające 2 cale długości, których ukąszenie

pach, zupełnie jak wojsko. Nad rzeką Japurá są niebezpieczne muchy, barwy zielonej. *Manta blanca* są to małe muszki, które jako chmury nawiedzają pewne okolice i wdzierają się wszędzie setkami, ale tylko podczas dnia. Okolice Górnego Ukajali mają mniej moskitów, niż Dolne Ukajali, gdzie stanowią prawdziwą plagę. *Maribundy* i romapy są to olbrzymie bąki. Bardzo znane są pchły ziemne oraz wstrętne kleszcze (*Cuterebra maxialis*), których można się pozbyć, nacierając skórę tytoniem.

Cała przestrzeń koncesji polskiej zamie-





*Lasy dziewicze nad Dolnem Ukajali*



*Na szczytach Andów*





*Nad Górnem Ukajali*

szkana jest przez Indjan, mniej lub więcej dzikich, ale w żadnym razie nie niebezpiecznych dla białych, o ile się umieją z nimi obchodzić. Pojęcie, jakie się ma w Europie o dzikich, jest zupełnie mylne, jeśli chodzi o Indjan Ukajali. Są to poprostu dzieci natury, szczere, szlachetne i o tyle niezepsute, o ile z białymi jak najmniej do czynienia mieli. Wszyscy polscy podróżnicy, którzy poznali Indjan tamtejszych, mówią, że są moralnie znacznie więcej warci, niż Europejczycy, bo są rzetelni, prawdomówni, bardzo uczciwi i jak komu sympatię okażą — to ją ciągle wiernie dotrzymują. Biali i cywilizowani, którzy niezawsze odznaczają się jasnym kolorem skóry, zamieszkujący porzeczce Ukajali, do dziś dnia uprawiają rodzaj pańszczyzny czy niewolnictwa, polując wprost na Indjan z pomocą pewnych szczerpów nawpół cywilizowanych, aby zabrać im dzieci i córki, które używane są jako służba

i parobcy i eksploatowani przez całe życie. Stan obecny rzeczy nie ulegnie zmianie, o ile nie zamieszka tam jakaś większa kolonja, i nie będzie większego kontaktu z rządem centralnym w Limie.

Urodzajność Montanji jest wielka, trudno znaleźć roślinę krajów gorących, któraby się tu nie udała. Kawa przy starannej uprawie mogłaby dać rezultaty nieoczekiwane, sądząc z drzew, jakie się tam spotyka, które mają produkować pojedynczo aż 3 i 4 funty kawy z drzewa. Trzcina cukrowa wyrasta na 4 metry wysoko, a dojrzewa w pół roku. Papaje dochodzą wagi największych dyni. Ananasy są wprost nadzwyczajne. Pomarańcze i cytryny rosną dziczące, i owoce ich gnią tysiącami. Nad Aguaitią i Pisqui spotyka się najwspanialsze okazy aguano\*), cennego drzewa budulcowego, a nad Tambo mnóstwo jest drzewa nogal.

Choć tereny Dolnego Ukajali są bardziej dostępne, najlepsze pod względem zdrowotnym i klimatycznym są tereny nad Urubamba i Tambo oraz nad Górnem Ukajali, powyżej dopływu Tahuania. Gdyby można było pogłębić koryto Ukajali, aby uczynić ją spławną rok cały — niewątpliwie, że cała ta strefa rozwinęłaby się nader szybko. Budująca się obecnie szosa przez Puerto Ocopa, połączy dolinę Tambo z Pobrzeżem i otworzy je dla cywilizacji.

Dzisiaj jeszcze ocenić niepodobna, jakie skarby kryją koncesje polskie w Peru, wielu przypuszcza, że jest tam również nafta, złoto, miedź, ołów i siarka. Źródła gorącej wody żelazistej lub siarczanej są bardzo pospolite na porzeczcu Ukajali. Ma być też i sól skalna. Inne źródło bogactwa tkwi w obecności licznych wodospadów, które spadają z gór na brzegach Tambo. Lasy dziewicze mają wygląd inny zupełnie nad Górnem, a inny nad Dolnem Ukajali. Nad Urubamba i Tambo lasy zajmują tylko doliny rzek, a w głębi kraju przechodzą w zagajniki i pastwiska, pokryte na kilka metrów wysoką trawą. Są zatem miejsca, bardzo odpowiednie do hodowli bydła.

\*) Rodzaj mahoniu.



## Doniosły wynalazek



Wide World Photos

### *Elektromagnetyczna maszyna do pisania*

*Inż. Dr. Curt Stille z Berlina dokonał bardzo doniosłego wynalazku, konstruując maszynę elektromagnetyczną do pisania. Maszyna ta sama wypisuje dyktowane jej wyrazy. Dyktowanie odbywać się może bezpośrednio lub z odległości i wówczas do maszyny włącza się telefon*

# Radjo w niebie

Napisał

Bolesław Szczyt

Ilustrował K. Mackiewicz

Pewien warszawski fabrykant aparatów radjowych myślał, myślał długo nad tem, jakby tu docna pognać konkurentów swoich a samego siebie wywyższyć. I wymyślił. Przez jednego zredukowanego urzędnika-chudzinę, który na ziemi już, krom nieba, innego dachu nad sobą nie widział i, jak mniemano, niechybnie przez to zbawion będzie, bo tak w cnotę a łasce pańskiej głodnego pod płotem żywota dokonał, posłał do Nieba, do Świętego Piotra pisanie, w którem stało, że pragnie dla Pana Jezusa za pół darmo, a dla ważniejszych Świętych Pańskich na trzymiesięczne rozpłaty aparaty radjo założyć, byleby mu za to tytuł dostawcy Dworu Niebieskiego był dany. A prośbę swoją wykoncypował łebsko.

Że to — powiada — od wieków już wiadomo światu o wielkiej łaskowości Stwórcy dla Polski i Polaków, bo ich tak długo na obliczu ziemi cierpi, a gospodarki ich znieść nie mogąc, czasem ano, na jakie 150 lat ledwie, w dzierżawę trzem włodarzom puści i z ukontentowaniem patrzy, jak za łby nas trzymają krótko a moresu uczą..., a potem, jak miarkuje, że nauki już dość, to ją se (tę Polskę niby) na nowo jako-tako zlepi i między dwóch głodnych wilków paszcze umieściwszy, rzecze: „rządź się dobrze a patrz, bo jak cię Niemiec nie zdusi, to cię bolszewik połknie”. Ale to jeno taka ojcowska przestroga, bo dobry Stwórca zdawna wie, że jak się Polacy od jarzma uwolnią a grzbiety wyprostują, to się zaraz za łby wezmą i pomiędzy sobą się zatłuką: zawsze im to milej, niż być przez sąsiadów pożartym.

Że ją to — mówi — polewa Bóg dobry (tę Polskę) deszczem w lecie, a śniegiem w zimie bieli, czasem-ta sypnie gdzie gradem albo i wichurą zamąci, ale zawsze pamięta o tem, aby chleba było w niej w miarę, byśmy się snać w hardość wielką nie podali a bojaźni Boskiej nie zbyli, jako, że żrebiec owsem karmiony — bryka, a człek i świnia najedzona — tyje. Tedy giętkość w nas utrzymując, postem, wigor przedziwny nam dawa i ona zapalczliwość rozrodczą, że się jak piasek w morzu mnożymy na chwałę Bożą i na Ojczyznę zbawienie.

Że się tak Bóg dobry w wolności naszej rozmiłował i w rycerskim animuszu obrońców, że gdy Mu mało jednego „cudu nad Wisłą”, to sobie każe drugi taki w Warszawie na moście powtórzyć, by zaś broń w pochwie nie rdzewiała a sprawność ramienia nie miękła.

Te i inne mnogie dobrodziejstwa Boskie dla Polski wyliczywszy i dufny w moc kadzidla swego, w te słowa suplikę zakończył... „jako Ty, Panie Boże Wszechmogący, polski naród dziadowski Łaską Swoją karmisz i odziewasz, nie wiada zaco i poco, bo jeno przez to żebraków mnożysz i do żebraniny przyuczasz, tak i mnie niegodnego racz wysłuchać, a zato mieć będziesz, o Władco Wiekuisty, codziennie koncert popołudniowy, jazz-band, tango lub odczyt o racjonalnem nawożeniu, a wieczorem, prócz muzyki i śpiewu solowego, także komunikat meteorologiczny, tudzież czas warszawski z dokładnością do 15 sekund. Zważ tedy, o Panie, korzyści



stąd dla Nieba płynące, bo i Święci Staruszkowie i Panienki Święte niełada rozrywkę też mieć będą, a i Anieli Pańscy wytchnienie po muzycznych na Niebie występach, a i to miej na uwadze, o Chryste, iżę powiedziałeś: „co zwiążecie na ziemi, będzie związane i w Niebie” — przeto godzi się, by filja firmy mojej związanej w Warszawie, była otwarta i w Niebie”.

Zakończywszy tak oną suplikę, zatarł ręce gracko i uśmiechnął się pod wąsem, rachując w myśli jak to profit z tego miał będzie a i honor nie mały.

Dopisał jeszcze, że monterów, do założenia radjo, na żądanie, do Nieba przysła, a i 5 aparatów nieboszczykowi - chudzinie wraz z pismem do trumny położył.



— Weź, wyjrzyj — rzecze Piotr Święty do dyżurnego anioła, kto tam w taki czas do wrót raju puka?

— Puk, puk! w niebieskie podwoje.

— Weź, wyjrzyj — rzecze Piotr Święty do dyżurnego anioła — kto tam w taki czas do wrót raju puka?

— Jakaś mizerota — mówi anioł.

— Puść.

Wszedł nieśmiało. Święty Piotr spojrział na chudeusza i, nie pytając, wiedział, że to z Polski. Z innych krajów nędza taka nie przybywa.

— Jakiś zredukowany urzędniczyna — rzekł do siebie i pokiwał smutnie głową.

Zaczem klasnął w dłonie i przywołał innego anioła, który pełnił funkcje woźnego, kazał go zaprowadzić do niebieskiej jadalni.

Mizerota miętosił w ręku kopertę.

— Co tam masz? — Święty Piotr zapytał.

Urzędniczyna podała pismo. Święty Piotr czyta.

Czyta i uśmiecha się litośnie na wzmiankę o monterach, potem skończywszy, spojrział na chudeusza:

— Jeszcze tu? — zawoła.

Złakł się nieboszczyzna i ku drzwiom się cofa, ale Piotr Święty przygarnął go ramieniem do siebie, pogłaskał po głowie.

— A dać mu tam porządnie zjeść, niech się naje — mówi do aniołów.

Urzędnik zaszlochał, a aniołowie Pańscy wzięli go pod ręce i na obiad suty wiedli.

Święty Piotr chodzi i myśli. Myśli i spogląda na lakierowane pudła i druty, które aniołowie wnoszą do przedsionka, ustawiają.

— Co to jest — pyta.

— Too?... багаż nieboszczyka.

— Aha... dobrze.

I dalej chodzi. Rozkłada papier, znów czyta. Palcem po brodzie się skrobie, śnać zafrasowany.

Nagle staje na środku izby.

— Weźmiesz to, kolego, dla swych dzieci? — i łokciem nieśmiało w one pudła wskazał.

Na to Święty Mikołaj, który pod piecem na niskim stołeczku siedząc, narządał sobie kozuch na doroczną wigilijną wędrówkę, podniósł białą głowę i brodę jak mleko i rzuciwszy okiem na pudła, potem na Świętego Piotra —

— Te druty? —

Obruszył się Święty, że to popędliwszy był, kozuchem wstrząsnął na kolanach.

— Abom to druciarz? — powiada. — Jeszczeby mnie za druciarza wzięli i psami poszczuli. Nie głupim!

I z żalem wzrok spuścił i igłą zamaszycie zamigotał.

— Nie gniewaj się — rzecze Piotr — to podobno gra. Muzyka.

Udobruchał się żdziebko Święty na to dobre słowo, bo to miętki był.

— Gra... — skrzywił się kwaśno — może być. — A sam myśli, jak to on takie pudła niezgrabne będzie po świecie dźwigał. — To niech se — powiada — Święta Cecylja weźmie, bo to ona lubi muzykować, ja tam nie amator.

— Ba, widzisz, kolego, ale dzieci...

— Dzieci?

Wyciągnął rękę Święty Mikołaj, do góry wznosił.

— Miło jest — mówi — patrzeć na chłopca, jak szabelką wywija, bo to i animusz z tego rośnie i poganinowi łeb uciąć może..., albo dziewczynkę z lalką na rękę, przez co przyucza się do macierzyństwa, z czego na ziemi radość jest wielka a i w Niebie pożytek niemały, (że to tam odbył na aniołków duży). Ale takie pudła...

Tu zrobił ruch pogardliwy jakby chciał splunąć, ale się pohamował z uwagi na osobę Apostoła.

— Tedy nie weźmiesz po dobroci?

— Ha... jak takie będzie rozkazanie władzy wyższej, jużci sprzeciwiać się nie będę, ale tak...

Wykręcił się tak Święty politycznie, bo to nijako mu było odmawiać wprost Świętemu Piotrowi, który w niebie urząd miał najznaczniejszy.

Miarkuje tedy Apostoł, że Święty Mikołaj nie da się nakłonić polubownie i że swe prawo zna. Ba, zmusić go nie można. — Mądry Święty — myśli — nie da się wziąć na kawał. Ho, ho! —

Chodzi ano Klucznik Boży i Kanclerz Niebios i tarmosi brodę.

— Oj ludzie, ludzie — powiada do siebie — co też to wam w głowie. Radjo w Niebie! he, he... jakby tu mało było muzyki a śpiewania.

Aż, chciał sprawie łeb ukręcić z miejsca i pozbyć się pudeł, którym w przedsionku niebieskim było nieobyczajnie. Ale cóż... Święty Mikołaj się uparł i nie bez racji: pudła dla nieba przeznaczone.

— Ha, kiedy tak — zżymnął się — to niechże idzie drogą urzędową. Niech się tam Święci pomartwią. Od tego są.

Omijał tę drogę ile mógł. Nie cierpiał formalistyki. Własną władzą



kanclerską wiele spraw rozstrzygał z punktu, bez użycia kancelarii. Ale te pudła... Chciał się ich pozbyć.

Patrzy więc na ścianę, na tablicę orientacyjną świata, szuka.

— „Narody przodujące: Francja, Anglja, Belgja”... Nie, nie to!... „Narody rozbójnicze: Rosja, Niemcy”... też nie! „Narody żebracze: Polska, Jugosławia, Rumunja, Albanja”...

— Patrzcie, — dziwi się Święty — jak to się wybiła. Ho! ho! Na pierwszym miejscu. No, no... ktoby to się spożdział.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, bo to do Polski słabość miał.

Oparł kolano na ławie, papier na stole rozłożył, na odwrotnej stronie napisał:

„Departament Ogólny (Łask Bożych)  
Sekcja do spraw Narodów Żebraczych  
Wydział Polski

skieruje według kompetencji.

Kancierz i Klucznik Niebieski: Piotr (święty)“.

Załączniki — pudła.

Zaklaskał w dłonie i aniołom-pachołkom czempredzej pudła nieść kazał.

Kontent, że się zbył kłopotu, zatarł ręce dziarsko i na Świętego Mikołaja mrugnął:

— Pewnie z Polski — Święty Mikołaj rzecze, już udobruchany.

— A pewnie, skądby.

Westchnął Mikołaj przeciągle i igłę świeżą nitką nawłóczył.

— Oj, ma też niebo kłopot z tą Polską, ma... Ciagle a to to, a to owo. A to im deszczu za dużo, a to im słońca zamało... A to im pomór, a to im zaraza... Ma też Stwórca za swoje, że ją stworzył.

— Et, bajesz, Święty, aby pleść — zachnął się Klucznik.

— Abo to nie widzę? — zaperzył się Święty. — Chodzę po świecie, to wiem. Ciagle jeno lamenty, a prośby, a błagania, że nieraz od tego Boga Ojcu a i poniekórym Świętym dobrze głowa boli. He... Jakby On — Gospodarz Niebieski nie lepiej wiedział co Mu robić wypada. Patrzy-ci On z wysoka na ziemię, to wszystko widzi: jak Mu tam gdzie morza krzyne wezbrały i wylewem grożą, to je se pod-



Potem po brodzie się skrobie, snąc zafrasowany...

ciąga nieco w chmury, a potem po piaseczkach, gdzie może, rozsiewa. Nieraz to i przepomni cofnąć w porę takie rozkazanie, bo się zapatrzy akurat gdzie indziej, jako, że spraw wiele ma na świecie, a wszystko na Jego głowie. A tu nie wyjdzie i sześć niedziel — larum wielkie, płacz, a narzekanie! Jużci im wody zawiele. Tedy Stwórca ręką machnie i słońce dopieka aż się z ziemi kurzy — znowu gwałt, że im zboże spali! Skaranie...

Tu ugryzł się Święty w język i z bojaźnią na Klucznika spojrział. Ale ten patrzył w okno, o czemś medytujący.

— Albo zaraza — prawil dalej. — Jak się ich namnoży coniemara, bo to amorne szelmy są, ze wszystkim się na niebo oglądając, płodzeniem się jeno zajmują, że więcej gęb, niż łyżek, tedy Bóg miłosierny powiada do sie: czekajcie, ja was trochę przerzedzę, by wam nie było zaciasno. To miast wdzięczności — oni w krzyk. A o tem nie pamiętają jeden z drugim, że Bóg sprawiedliwy żywić musi i doktora, i trumniarza, i grabarza, i dziada pod kościołem, co za dusze pacierze klepią — bo ich stworzył i dla wszystkich jest Ojciec. Ano musi wszystkim dzielić porównu, by Go mieli za co chwalić.

— Bacz, Święty, byś nie zgrzeszył — przestrzega Apostoł.

— A to mi tam Najwyższy Sędzia odpuści — bijąc się w piersi, Święty Mikołaj się korzy — bo to z miłości dla Niego. — A widzę ja, widzę... Nieraz, jak się Bóg Ojciec na to wszystko napatrzy, a onych lamentowań nasłucha, to władzę nad światem Ukrzyżowanemu zdawszy, ręką uszy zatyka i uchodzi w chmury, by tam nieco odpocząć. A Ukrzyżowany, jak to Ukrzyżowany... że to na ziemi się rodził a wychowywał, to do ludzi Ignie. A jeszcze jak spojrzny na Matkę swoją Najmilszą, ustawicznie za Polską Go molestującą, to co może, to w tę Polskę pcha: a to zdrowie, to urodzaj, to zwycięstwo nad wrogiem, to Łaskę Bożą i Siłę wytrwania, a to Nadzieję na przyszłość, Energję i Wolę. Zaś Panienka Najświętsza, że to w polskiej ziemi dobrze Jej się dzieje, a osobiwie w onej Częstochowie wielkie upodobanie ma — znowu na swoją rękę pokryjomu, zwyczajnie, jak to niewiasta: temu rękę, temu nogę, a to oczy, a to rozum, albo i zgoła umierającego do życia przywróci.

Ale to wszystko jak za płot, jak w dziurawy worek: zawsze im mało, wszystkiego im brak. Eh, pożał się, Boże, — westchnął — boć to dzieci Twoje, ale istne dziady...

Bartłomiej Gierutowicz, który, że to za życia konceptem nie grzeszył, w sekcji do spraw Narodów Żebraczych niebieskim konceptistą w Wydziale Polskim był, mając do pomocy trzech c. i k. tajnych radców galicyjskich, którymi jak chciał pomiatał — otrzymawszy z rąk pacholka-aniola oną suplikę, zaraz strasznie się nią przejął i nuż do przełożonego, do naczelnika biec. Ten do dyrektora departamentu. Był nim podówczas Apostoł Paweł.

Wielki Święty, rygorysta i Rzymianin, na prawach twardych wychowany, czasu tracić napróżno nie lubił: wzrokiem sowim w papier spojrział i odrazu jak i co.

Gierutowicz, że to w obliczu tak wielkiego Świętego gęby własnej docna zapomniał i do ziemi stał przygwożdżon okiem przenikliwym, trąca w łokieć przełożonego i szeptem:

— R... radjo! Mów, że z Polski.

— Z Polski? — podchwytuje Święty Paweł. — Odrazu wiedziałem.



Już nam wszystkim Świętym w niebie uszy od tego popuchły: Polska, polskie, z Polski. No, mów, o co znów idzie.

— Rrrradjo...

— Słyszałem. Co to jest radjo? — pyta Święty szefa sekcji Żebraczej.

— Nie wiem, panie Święty, to on — ręką wskazuje na Gierutowicza.

— Co on. Co za jeden?

— Kancelista z Wydziału Polskiego... Gierutowicz... Bartłomiej...

— Czy ten, co w Warszawie?...

— Tak, ten.

— Phi... — skrzywił się czegoś Święty i na szefa sekcji spojrzał z wyrzutem. — No, więc dobrze, cóż tedy to radjo? Do czego? Na co? Kto się na tem zna?

Wówczas Gierutowicz jał bakać do szefa sekcji, że wprawdzie on nic, ale już za życia, gdzieś... coś... zagranicą... tego... że ten. Ale właściwie nie wie. Możeby się Piotra Curie spytać, który z żoną...

— Kto z żoną, z czyją żoną — podchwytuje Święty surowo. — Gadaj! Jeśli z swoją, to mu wolno.

Szef Sekcji wytłumaczył Świętemu o co chodzi.

— Aha... Wołać Piotra Curie! Gdzie on...

Rozesłano aniołów na wszystkie strony.

Po chwili wprowadzają Piotra Curie. Ten od ostatniego wypadku z kołem od omnibusu słabo pamięcią włada.

— Co to jest radjo? — Święty Paweł pyta.

— Rrra... Radjum? zaraz... zaraz... O, tak, gdzieś coś słyszałem, tak... Ale... — za głowę się chwyta — moja głowa! Rrra... radjum... radjum...

— Jakże — Gierutowicz się ośmiela — toż pan profesor dostał nagrodę Nobla. Za rad. Radjum. Wynalazek! Z żoną: Curie-Skłodowską.

— Ja?! Ja?!... Może być... może być... nie pamiętam. Ale jeśli tak mówisz, młodzieńcze... t... t... t... przepraszam, pppanie professs... t... t... t... przepraszam: z żoną! Tak, tak... Skłodowską Marie! A, tak... pamiętam! jakże! Radjum! — w oczach mu się rozjaśnia.

— No więc, cóż to jest to Radjo — pyta Apostoł.

— Rradjum... radjum... — Naraz nabiera rezonu, pewności siebie, rękę do góry wznosi.

— O, to wielka rzecz, panie Święty... to jest... pprprprprzepraszam: Święty Apostole — Rradjum!

— Nie radjum, tylko radjo — prostuje Apostoł.

— Tak, tak... Ja też mówię: rrradjum. O, tak, pamiętam.

— No, cóż tedy to „radjum“. Cóż ono robi?

— Świeci! — woła Curie z triumfem. — Nawet w nocy. Dalibóg! I leczy!... Wiem napewno... Nieraz z żoną Marie...

— Ono śpiewa — przerywa Apostoł.

— Śpiewa? — dziwi się Piotr Curie — za moich czasów nie śpiewało...

— I gra!

— I gra?! — kręci głową. — No no... Może być... O, to wielka rzecz: radjum! Tak! przewrót w nauce... Pamiętam, w Paryżu...

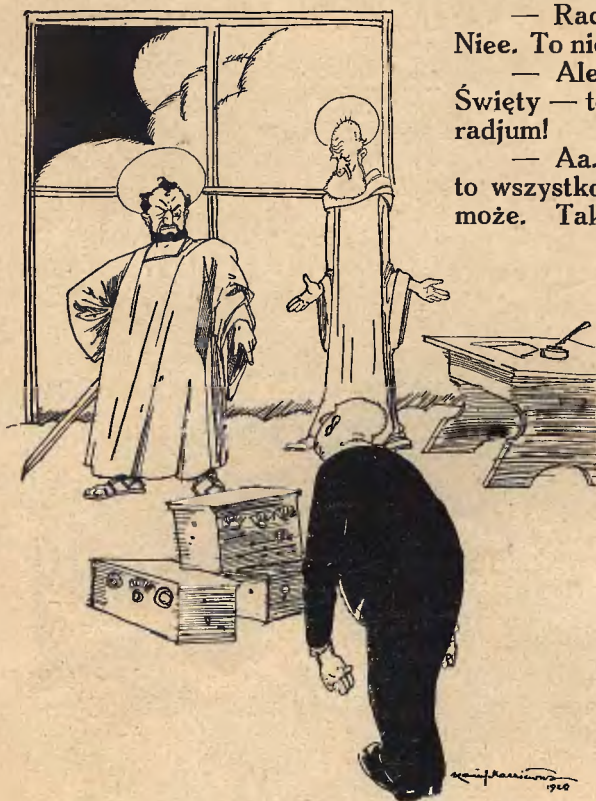
— Tak więc — cóż z tem zrobić? — wraca do rzeczy Apostoł — te pudła...

Pokazują Piotrowi Curie pudła. Chodzi, ogląda je na wszystkie strony, kręci głową.

— Cóż to jest? — pyta Paweł Święty.

— Too? jakiś telefon... o, druty... baterje...

— To jest Radjo — poucza Apostoł.



— Co on? Co za jeden?  
— Kancelista z wydziału polskiego...

— Radium?—zdumiewa się Piotr.—  
Niee. To niemożliwe, gdzież... Śmieje się.

— Ależ tak! tak! — przekonywa  
Święty — to jest Radjo! Od słowa rad:  
radjum!

— Aa... jeśli tak — potakuje Curie —  
to wszystko możliwe. Radium wszystko  
może. Tak! pamiętam, żona...

— Cóż więc z tem  
zrobić — przerywa Świę-  
ty — jak zużyć?

— Zrobić... zużyć... —  
łamie sobie głowę Curie —  
nie wiem. Gdybym miał  
tu laboratorium, to może,  
ale tak... Przytem moja  
głowa...

Łapie się za głowę.

Nagle wpada na myśl.

— Ach, tak! Najlepiej  
posłać do mojej żony, do  
Paryża. Ona wie, ona po-  
radzi... O, tak, ona też...

Uśmiechnął się Święty  
Paweł z politowaniem, że  
to niesłyszana rzeczą było  
w sprawach niebieskich za-  
sięgać porady żyjących  
śmiertelników i . pokiwał  
smutnie głową.

— Odprowadzić tego  
biedaka — zwrócił się do

aniołów i, patrząc w ślad za oddalającym, stukał palcem w czoło.

Skonfundowany Gierutowicz, pożegnawszy się z nadzieją o awansie, chciał już doradzać zwierzchności, by całą sprawę, jak to się robiło w Pol-  
sce, ad acta złożyć, byleby prędzej zejść z oczu groźnego Świętego, ale  
Apostoł w rzeczach wiary nieugięty był i co raz postanowił, do końca  
doprowadzić musiał. Rozkazał więc po całej Kancelarji Niebieskiej pytać,  
czy jest gdzie jaki Święty specjalista od radja. Nie znaleziono. Rozesłano  
wici po wszystkich zakątkach nieba: poruszono wszystkich Świętych na  
urzędach i zdawna emerytowanych staruszków, co to jeno o swych cu-  
dach, nie chwalcą się, radzi gwarzą; ba, zagabano Panienki Święte i rze-  
sze zwykłych zbawionych — i wszędzie pytano o Świętego montera albo  
elektrotechnika od radja. Napróżno.

Tedy posłano do zarządu Czyścica z rozkazaniem w Imię Pańskie, by  
natychmiast dostawiono, nie zwlekając, specjalistę od radja, skoro tylko  
zbawion będzie.

Odpowiedziano, że wprawdzie jest tam już sporo tego gatunku  
grzeszników, a nawet jeden z nich, najniewinniejszy, na próbne jeno wy-  
stawiony męki, ale i ten za 3.000 lat dopiero przed oblicze Świętego po-  
stawiony być może.

Gdy ta odpowiedź przysła, rzucił się Święty Paweł.



— O, Polska — powiada — Polska! Nie dość, że wszystkim Świętym ani chwili spokoju nie daje, jeszcze ich na konfuzje naraża.

Uderzył ręką w stół.

— Niechby się to zdarzyło w Rzymie!

Tu ugryzł się w język Apostoł i chrząknął dla niepoznaki, pomiarkowawszy, iż nie wypadało w Niebie pogańskim Rzymem straszyć — przeto jeszcze większa żałość na Polaków go poniosła.

— A i to nam wytykają, że nie potrafimy rozwiązać tego w Niebie, co oni zawiązali na ziemi — bo my tego piekielnego radja rozgryźć nie możemy. Ha! co to za naród niewdzięczny. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: ani ucho nie słyszało, ani oko nie widziało skarbów miłości i pobłażania, jakie się w sercu Stwórcy mieszczą — ale wyczerpie się kiedyś cierpliwość Pana, a wtedy... nic nie wskórają supliki Świętego Wojciecha a Świętych Stanisławów dwóch. *Bo, że tam pod Wiedniem... że pod Choci-mem* — zwyczajnie: cud Boży i wola Pana nad Pany. A i ci Święci Polscy też nie żadne Apostoły: tytułarni jeno, w niebie urzędów nie zajmują. Jeden-ta może Święty Wojciech, co od pogan był ukrzywdzon, a i ten przecie Czech, choć ludzki człowiek. Żaden z nich w Rzymie... tego.

Zakaszłał się Święty Apostoł, bo to bardzo był już utrudzon, a i sterany też krzyne, bo bez mała 2000 lat na urzędzie znacznym w niebie siedział, że już zdawna emerytura mu się patrzyła rzetelna. Ale, że to zwyczajnie gadatliwy był, to jeno odsapnąwszy sobie kapkę, tak dalej żółć swą wylewał:

— A i namnożyło się tych Polaków w niebie, namnożyło... Co rusz, to Święty Piotr drzwi odmykać musi i onych drapi-chrustów puszczać. A chude! A obdartel! — że niech ręka Boska broni. Ale cóż... że to swoich Świętych też mają kilku, to snadnie protekcję znajdują. A to krewniaki, a to pociotki, a to kumy — a ten zarznięty, a ten za-



*Ale ci malarze! Pożal się Boże...*

*Włóczę się po niebie, panienki święte podglądają...*

szlachtowany — a niech ich!... I dopieroż tu się odpasać na chlebie Bożym a na urzędy pchać. Taki Gierutowicz...

Tu spojrzał Apostoł krzywo na skromnego kancelistę, a ten, nie słuchając już dalszej konfuzji, nogi zapas i czmychnął, żegnając się na wieki z awansem na referendarza.

A Święty Paweł, przypomniawszy sobie nagle o rzeczy, cisnął papier o stół i pisarkowi rozkazał:

— Odesłać to do Departamentu Sztuki. Niech tam sobie zagrają.

Pisarek niebieski napisał:

„Departament Ogólny (Łask Bożych)

Sekcja do spraw Narodów Żebraczych

Wydział Polski

Departamentowi Sztuki

odstępuje do kompetentnego traktowania.

Dyrektor Departamentu

Apostoł:

Podano Świętemu do podpisu. Ale Święty nie chciał w tem nawet pióra maczać, więc rozkazał, by ktoś z Wydziału Polskiego za niego podpisał. Tedy po raz pierwszy w dziejach świata, Gierutowicz, ze drżeniem,

„za Świętego Apostoła:

Gierutowicz“

podpisał.

Starczyło mu to za awans. Odtąd o niczem innem nie mówił.

— A to co? — pyta Święty Augustyn, gdy mu na biurko pudła postawiono.

— Z Polski — odpowiadają Aniołowie.

— No, no... pierwszy raz widzę, by Polska coś do nieba wносиła, prócz głodnych poetów a kudłatych malarzy. Cóż to jest takiego?

— Muzyka — objaśniają.

— Muzyka? A cóż to ja im będę do tańca przygrywał, albo na wesela woził?... Łażą po niebie, jak te zmokłe kury, a wzdychają — że aż tu na wysokościach wiatr się z tego czyni, a pożytku z nich żadnego.

Westchnął wielki Święty i doktor Kościoła.

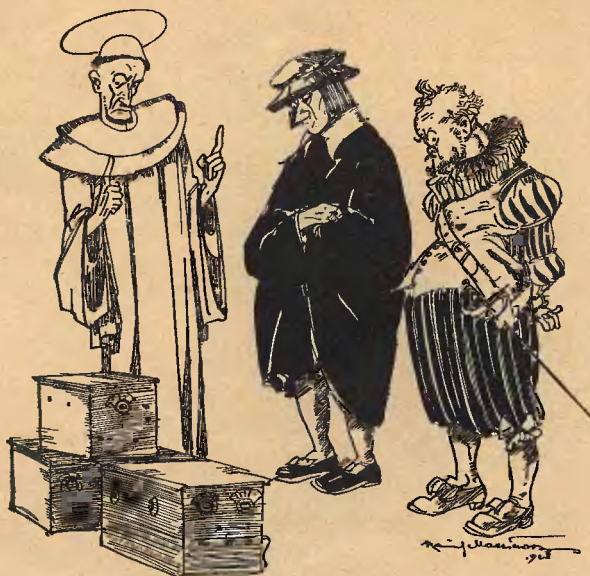
— Niezbadane jest miłosierdzie Boże... Ale poco to tych darmożjadów do nieba puszczać... Smutne to, zabiedzone, że i humoru nijakiego, cikliwość jeno po Niebiesiech roznoszą, bo nawet cieszyć się ze szczęścia nie przywykli. Rozumiem taki Mickiewicz... ten „cierpiał za miliony“. No... taki Słowacki, bo się natulał po świecie, „nie znając prawie rodzinnego domu“. Ale co z niego za pożytek? Chodzi ano po wszystkich zakątkach nieba i swojej Ludwiki Śniadeckiej szuka... i nigdzie jej znaleźć nie może. A jak się zmęczy chodzeniem, to siada na obłoku i różnobarwne smugi w tęczę niza i na wiatr puszcza, jak dziecię. I patrzy, jak mu się wiją świetliste wianki i jak deszcz pereł przez palce się sypie... A smutny.

Ale ci malarze!... Pożal się Boże... Włóczą się po niebie, panienki Święte podglądają, na Boga Ojca się czają — i dalejże portretować, że to ma charakterne oblicze. Wstyd i obraza Boska! Że muszą wszędy pacholców rozstawiać, by na nich baczenie mieli i do Boga Ojca przystępu bronili.

Albo te skryby różne... Że to gęsi w Niebie niema, bo te w Polsce w stadołach małżeńskich cnotliwy żywot wiodą, to ustawicznie Świętego Ducha otaczają, skamlą a molestują i o pióra proszą.



*Ogląda Michał  
Anioł pudła i  
wzrusza ramio-  
nami...*



*Lionardo patrzy  
się to na pudło,  
to na świętego  
zdumiony...*

Ale cóż... rozkazanie jest takie pańskie, by ich puszczać jak najwięcej. Niech się ta — powiada Bóg dobry — w Niebie pożywią i przytułek znajdą, bo tam w Polsce poszanowania ani wiktury nie mają nijakiego. Skromny to naród, cichy i potulny, jeno że kłótlivy. Jeden nad drugiego się wynosi, a wszyscy razem — choć to pieśniarze pono — za jednego organistę, jak mówi Święta Cecylja, nie starczą. Wołać tu Michała Anioła!

Przyszedł Michał Anioł ze złamanym nosem i czeka.

— Powiedz, — powiada Święty, — co to jest? Umiałeś kościoły stawiać, gołe niewiasty i djabły (tffy!) po sklepieniach świątyń malować, pod opieką Papieży, a i na drumli też potrafisz.

Ogląda Michał Anioł pudła i wzrusza ramionami.

— Nie wiesz? Wołać Lionarda da Vinci!

Przyszedł.

— To dla ciebie, — mówi Święty, — zagraj!

Lionardo patrzy się to na pudła, to na Świętego, zdumiony.

— Nie umiesz?! A to odesłać, do stu tysięcy Świętych pańskich, do Wydziału Świętej Cecylji! — zawoła Święty Augustyn, że to energiczny Święty był.

Nabazgrano skrypt, odesłano.

W Wydziale Świętej Cecylji, która nad Chórami Anielskimi władzę swą rozciągała i nad muzyką świata opiekę miała, skrypt trafił do rąk świeżo mianowanego radcy fortepianu, niejakiego Fryderyka Chopina. Młody ten jeszcze człowiek, dziwnie wąły i misterny, zdradzał wszakże pewne uduchowienie i ogłade. Przeczytawszy podanie, uśmiechnął się smutnie, uniósł z wdziękiem kształtną głowę z długimi kędziory i poszedł do Świętej Cecylji. Ukłękł na jedno kolano, skroń pochylił.

— Wstań, mości Fryderyku, — Święta się odzywa, — co powiesz?

Otaczała go opieką macierzyńską i przyjaźnią darzyła, chociaż fortepian miała w pogardzie.

— Organy — mawiała — to muzyka, a wszystko inne — dudy.

Że to jednak do spraw fortepianu potrzebowała człeka, a stary Beethoven zniedołężniał natyle, iż harfy od gramofonu nie odróżniał, przeto posłała go Święta aniołków małych niańczyć, co to jeszcze niewypierzone w obłokach baraszkują — i na drumli im przygrywać, a na opróżnione przezeń miejsce Chopina sobie sprowadziła i codzień o zdrowie pytała.

— Jak się czujesz, mości Fryderyku — czy lepiej?

Fryderyk pokasływał, ale udawał, że mu nic.

— Zobaczysz, jak sobie posiedzisz w cieple, to wydobrzejesz — pocieszała.

Do Polski i Polaków miała żal tajony, którego przy nim wszakże nie ujawniała.

— Co tam przynosisz, mości Fryderyku? Pokaż!

Chopin rozłożył podanie.

Święta czytać poczęła. Nagle krzyknęła, aż wątyły Fryderyk drgnął.

— Co! Radjo dla Nieba? Cóż to jest! Jak śmia! Oni, co własnej muzyki słuchać nie chcą, będą nią Niebo raczyć? Pudełka jakieś, druty, „koncert popołudniowy”, „komunikat meteorologiczny”... Co to jest, mości Fryderyku, pytam się?

Fryderyk się skłonił i nisko pochylił głowę. Tak trwał.

— Czyż oni mają pojęcie o muzyce? Cóżbyśmy zrobili z Chórami Anielskimi — z chórami Archaniołów, Cherubinów i Serafinów... Musielibyśmy połowę zredukować. Słyszał to kto?

Naraz cała złość tajona, wszystkich żal, skrywany długo, wybuchnął.

— I to kto... Oni! Oni! Co „modlitwą dziewicy” Bądarzewskiej podziurawili całe Niebo, gdy wszystkie stare panny jeły o mężów prosić... Polacy? Co własnymi genjuszami pomiatają? Co im chleba i dachu nie dają? Jednego mieli Fryderyka, a i to musiał u obcych szukać chleba, a i mogiły w kraju nie znalazł po śmierci. Tęsknotą targany, uciekł biedaczysko z paryskiego Montmartru w listopadzie i tam pod Belwederem usiadł sobie pod wierzbą i płacze. Na taki mróz! Ulitowałam się i wyprosiłam u Stwórcy dlań Niebo. By się ogrzał. By miał swój dom — on, co go nie miał w ojczyźnie...

Chopin łkał.

— I oni śmia tu swoją muzykę narzucać! Czyż oni mają pojęcie o muzyce niebieskiej? czy słyszeli chóry i trąby Archaniołów? Rzempoły jedne... Nie mówię tego o tobie, Fryderyku, bo ty umiesz i na organach grać i nawet raz u Bernardynów w Warszawie jeden organista niebardzo ciebie zganił, ale tamci — co ci do pięt nie dorosli...

Święta była straszna.

— Odesłać to czempredzej Świętemu Piotrowi, — rozkazała, — niech na to nie patrz!

Zaczęła biegać po komnacie, wzburzona.

— Dziwię się Świętym Staruszkom, że się takimi głupstwami zajmują. Śnać bardzo już postarzeli.

Tedy Chopin śpiesznie wygotował umotywowaną odpowiedź, dlaczego Wydział Muzyki i Chórów Anielskich rezygnuje z aparatów Radjo i pudła z powrotem znalazły się w przedsionku niebieskim, u Świętego Piotra.

— Co to jest? — krzyknie Apostoł.

— R...radjo — odpowiadają Anieli.

Zafrasował się Święty i patrzy na pudła, które mu z przedsionka niebieskiego czynią elektrownię.





*„Modlitwą dziewicy” Bądarzewskiej podziurawili  
całe niebo, gdy wszystkie stare panny jeły o mę-  
żów prosić...*

Święty Mikołaj struchlał. Spojrzał na pudła, zrozumiał. Ale udał, że nie.

— Przyszedłem się z Wami pożegnać, Piotrze — powiada.

— A dobrze, dobrze, — Piotr Święty rzecze, — ino zaraz...

A sam na kolanie coś szybko bazgrze.

„Kancelarja Niebieska

Kancelrz i Klucznik Boży zawiadamia N. N. w Warszawie,  
że z oferty jego nie skorzysta.

podpisano: Piotr (świąty)“.

— No, niech Bóg prowadzi, — mówi Apostoł, — a to pismo po drodze...

— A... a... pudła?

— Rób z niemi, Święty Mikołaju, co chcesz, byleby mi tu nie śmierdziały. Najlepiej weź po drodze.

Świąty wyszedł przede drzwi, medytujący.

Wtem ujrzał Świętego Józefa.

— Święty Józefie, chodźcie-no!

Świąty Józef się zbliżył.

Wtedy cichaczem, tajemniczo, korzystając, że Apostoł udał się na stonę, wprowadził go do przedsionka niebieskiego i one pudła pokazał.

Zaśmiały się oczy Świętemu Cieśli na widok polityury, że to na tem wiek strawił, poślinił palec, po gładkiej powierzchni pociągnął. Cmoknął językiem poządlowie.

— Gdzie jest Święty Mikołaj? Szukać mi go! — woła.

Rozlecieli się aniołowie, szukają.

Ale Święty Mikołaj, czy zmiarkował pismo nosem, czy tak dla potrzeby — gdziesik się zapodział. Słyszeć — słyszał, zda się, głosy a nawoływania, ale przepadł. Tobołki swoje pakuje, a na boki się ogląda.

— Szukać Świętego Mikołaja! Łapać! trzymać! — woła Piotr Święty, a sam po komnacie wielkimi krokami sadzi.

Aliści Święty Mikołaj chyłkiem, chyłkiem popod ścianą się przesuwa. Cały obwieszony tobołkami — lalkami, szabelkami...

Wtem Apostoł się obejrzał na szelest.

— A!... tuś się Święty odnalazł — ucieszył się. — Dobrze!

— Chcesz, Święty? — Święty Mikołaj kusi. — Weź!  
I do ucha coś mu szeptać począł, na drzwi się wciąż oglądając.  
Święty Józef nie dał się długo namawiać i pudełka oburącz miłośnie objął.

Wyszli.

Co tam potem za ścianą gadali ze sobą Święci — niewiadomo, a to jeno na jaw wyszło, że na ranek gracki gołębnik na podwórku niebieskim, dla ptaków Najświętszej Panny, stanął. Z onych pudełek.

Zaś naguski małe, w obłokach baraszkujące, wielką uciechę miały z lśniących lampek i drucików, które im Święty Józef przyniósł.

A fabrykant, otrzymawszy pismo cierpkie od Świętego Piotra, głębiej za pas wtulił i ani pary z niej nie popuszcza. Taka-ci go spotkała konfuzja.



*A to jeno na jaw wyszło, że na ranek gracki gołębnik  
na podwórku niebieskim stanął...*





*Studjum fotograficzne*

*Fot. Bucovich*



MCMP

*Po tennisie...*

*Wide World photos*





# Uśmiech Mistinguett

Uśmiech? Dlaczego tylko uśmiech, a nie ona sama, wielka vedette'a paryskiego Moulin-Rouge — Mistinguett? Bo czyż w jej uśmiechu nie zamyka się cała istota tej ulubienicy Paryża? Uśmiech, który wszyscy nazywają najbardziej paryskim — pełen wdzięku, którym Mistinguett czaruje swych słuchaczy.

Tak, Mistinguett, dziecko Paryża (broń Boże, brać słowo „dziecko” dosłownie!), z którego dumni są mieszkańcy stolicy świata, pozostawi każdemu w pamięci swój nieporównany *charme* i wdzięk paryskiej midinetki nie swym tańcem lub piosenką, lecz głównie rzuconym ze sceny przelotnym uśmiechem. Śpiewana przez nią piosenka obramowana jest zawsze tym wdzięcznym uśmiechem.

Bo czemuż można sobie wytłumaczyć wielkie powodzenie, jakim się cieszy obecna dyrektorka Moulin-Rouge. Nie głosem, którego nigdy nie posiadała; nie wspaniałymi strojami, które mogą olśnić, lecz nie rozentuzjasmować widownię; nie młodością, która dawno już minęła. Mistinguett bierze wdzięk.

Piosenka, lansowana przez Mistinguett, prawie zawsze może liczyć na sukces. Wszyscy mamy jeszcze w pamięci takie melodje, jak „Valentia”, „Ça... c'est Paris”, które w triumfie obiegły całą kulę ziemską. Wszak to Mistinguett je śpiewała.

Czy śpiewała je ładnie?

Trudno to nazwać śpiewem, gdyż, jak wspomnieliśmy, Mistinguett nigdy głosu nie miała, a tem bardziej nie posiada go teraz.



Uśmiech i kwiaty



*Mistinguett  
ze swym stałym partnerem  
Earl Leslie*

Niektóre tony są wręcz dla ucha niemiłe — lecz w music-hall'u głos gra rolę podrzędną. Wdzięk, bijący z całej zgrabnej sylwetki Mistinguett — wystarcza. Sala bije brawa, ogarnia ją jakiś dziwny szal, i publiczność nie puszcza swej ulubienicy ze sceny.

Nie sądźmy, że Mistinguett prócz swego wdzięku nie daje widzom nic. Nie — jest ona równocześnie bardzo dobrą aktorką. W każdej swej roli jest inna i w każdej jest doskonała. Czy w salonowych duetach ze swym partnerem, Earl Leslie, czy tańcząc z nim tango argentyńskie, czy grając rolę opuszczonej ulicznej dziewczyny — Mistinguett wnosi na scenę zawsze coś nowego i ciekawego.

Czy Mistinguett jest pewna na swym tronie królowej music-hall'u, czy znikąd nie grozi jej niebezpieczna konkurencja?

W danej chwili wielka vedette'a jest jeszcze wielką Mistinguett, lecz bądźmy szczerzy — dni jej triumfów są policzone. Nie dlatego, by zmiennej publiczności paryskiej miała się znudzić — tak jak znudziła się „Czarna Venus”, Józefina Baker. W stosunku do Mistinguett paryżanie są wyjątkowo wierni — lecz wiek, ta największa zmora pięknych kobiet, a zwłaszcza aktorek rewjowych, zaczyna swoje robić.





*Je n' ai q' ça...*

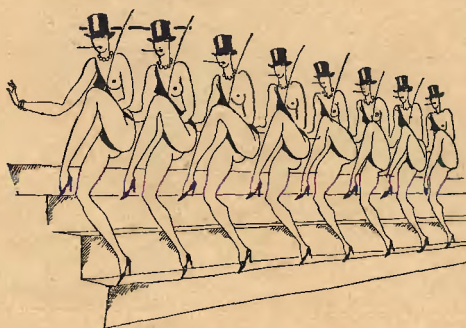




*Allegro  
Mistinguetto*

Mistinguett, mimo iż na scenie porusza się i tańczy z werwą młodzieńczej dziewczyny — dawno już przeszła pięćdziesiątkę. Może przyjąć nieza długo moment, że nie pomoże już szminka, i na scenie ukaże się podstarzała mocno kobieta.

Lecz miejmy nadzieję, że wielka aktorka do tego nie dopuści — zejdzie prawdopodobnie ze sceny w pełni powodzenia i pozostawi wszystkim w pamięci swe piosenki i najmiłszy na świecie uśmiech — uśmiech Mistinguett.







*Dolina Błękitnych Wód*

# Podróżnicy polscy na Ałtaju

Napisał

Eugenjusz Krosnowski

Kraj, znajdujący się pomiędzy 80 do 100° długości według Greenwich'a i 40 do 50° szerokości geograficznej, Ałtaj należy do najciekawszych krajów Azji Centralnej. Pomimo to jest prawie niezbadany i nęcił wyobraźnię niejednego z podróżników, a w liczbie ich i ks. Jana Wasilewskiego, którego interesowały sprawy obyczajowe i religijne Kirgizów i Kałmyków, i który, znalazłszy w nas chętnych towarzyszy do dalekich wycieczek, zorganizował ekspedycję, o której mowa. Wyruszyliśmy w 1917 roku w maju ja, brat mój, obecnie porucznik wojsk polskich, Stanisław Hejnowski, obecnie wybitny prawnik na gruncie poznańskim, Jan Cz., Jędrzej Pr. i ks. Jan Wasilewski, obecnie rektor seminarjum w Pińsku, z Finlandji przez Wołogdę, Wiatkę, Perm, przez Omsk, Tajgę do Tomsku, stamtąd statkami przez rzekę Ob Tomi Bija do Bijska, ogółem oko-

ło 4.000 klm. W Tomsku zaopatrzyliśmy się w karabin, dubeltówki i rewolwery i, zaaprowizowani w odpowiednią ilość konserw i przyrządów myśliwskich i rybołówczych, zamierzaliśmy w ciągu kilku miesięcy przebyć wszcz Ałtaj do granicy chińskiej w celu zbadania w szczególności szczytu Biełuchy, najwyższego punktu Ałtaju, położonego na 13.700 stóp nad powierzchnią morza. Pierwszym etapem naszej podróży w tym kraju był step, którego granic określić okiem niepodobna, step, zarośnięty tak wysoką trawą, iż jeździec konny niepostrzeżenie mógłby się obok przesunąć. Pierwsze, co nam się rzuciło w oczy, to mnogość drapieżnych ptaków i orłów, świadczących, że stepy te obfitują w zwierzynę. Przez kilka dni szliśmy, powodując się jedynie kompasem, nim dotarliśmy do pierwszego siedliska ludzkiego, gdzie przede-



*Jurta kałmycka wśród gór*

wszystkiem naszym zadaniem było dostanie siedmiu koni wierzchowych. Obecnie należało powziąć decyzję, jakimi drogami dojść do zamierzonego celu, to jest do Bieluchy. Profesor tomskiego uniwersytetu, Szaposznikow, zalecał trakt, którym sam odbywał podróż do rzeki Terechty, inni, poprzedni badacze Ałtaju, jak pułkownik Kozłow i generał Przewalski, mając inne zadanie (strategiczne) wskazywali w tym względzie w opisach swych nie zostawili. Należało więc iść śladem Szaposznikowa, co też uczyniliśmy, udawszy się w mozolną, połączoną z niesłychanymi trudami drogę, gdyż ów trakt Szaposznikowa okazał się niczem innym, jak pojedynczymi szlakami, łączącymi poszczególne kolonie tatarskie i wioski, przez emigrantów syberyjskich zamieszkane, do których aby się dostać, należało przezwyciężać niekiedy nieprzebyte lasy, zarośla i błotniste tereny. Przejście do rzeki Terechty (ostatni punkt badany przez Szaposznikowa) zajęło nam zgórą trzy tygodnie. Od tego miejsca mogliśmy się uważać za podróżników, którzy, pozostawieni własnemu sprytowi, mieli dokonać badań miejscowości, Europejczykom nieznanych. Przestrzeń, dzieląca nas od Bieluchy, wynosiła jakieś 100 klm. Coprawda z Bijska do podnóża Bie-

luchy prowadził inny, bardziej utarty i pewniejszy trakt, ale, że droga wypadłaby o jakieś 150 klm. dłuższa, zatem postanowiliśmy pozostawić tamtą drogę na powrót, a teraz coüte que coüte, przy pomocy miejscowych tubylczych przewodników uforować nową marszrutę znacznie krótszą. Nadmienić wypada, że ludzie miejscowi są bardzo mało-mówni i jedynie budzą się ze śpiączki, gdy mowa jest o koniach, które stanowią najwidoczniej jedyny ich majątek, dobrobyt i cel życia; spotykaliśmy między innymi Tatarów, szczęśliwych posiadaczy 5.000 koni. Poza tem barany, gdzie niegdzie pasieka, rybołówstwo i myślistwo, stanowią podstawę ich egzystencji. Rolnictwo w zupełnem zapomnieniu, o kultywowaniu jakichś warzyw, owoców, dla których klimat miejscowy doskonałoby się nadawał, jakoś tu nie słyhać. Rzeki i strumyki górskie obfitują w niezwykłą ilość ryb i gatunków nawet tu w Europie nieznanych, do których zaliczam rodzaj pstrągów o zlocistej barwie, niemal w samych podskokach i pluskaniach spędzających swój żywot. Ryb jest tak wielka obfitość, iż faktycznie, nie uciekając się do wędzienia, saków i wędek, chustkami łapaliśmy ilości potrzebne nam na spożycie. Pierwszym przedmiotem, draż-





*Mały Kałmyk*

niącym naszą wyobraźnię, były mętne informacje o znajdującym się w pobliżu jakimś wodospadzie, zupełnie Europejczykom nieznanym. Straciwszy na to dzień męczącej jazdy konnej, dotarliśmy we wskazanym kierunku do urwisk skalnych, z których sączyła się z wysokości 60 metrów masa srebrzystej wody, szerokości do 8-iu metrów, mogąca dać mieszkańcom tutejszym, używającym świec z baraniego łożu, oświetlenie elektryczne na cały, izolowany od świata Ałtaj. Wodospad ten w języku aborygenów zwie się „Szenok”. Brat mój, obserwując świetlne efekty tęczowe w rozproszonych pyłkach wody, doznał niemiłego wrażenia, spostrzegłszy u stóp wodospadu jakieś stworzenie o niekształtnej masie, używające oryginalnego prysznica. Gdy się zbliżył, stworzenie to, odbiwszy się płetwami czy też rodzajem skrzydeł, uniosło się w górę

i przylepiło do sąsiedniej skały. Była to jaszczurka latająca o wyglądzie bardzo nieestetycznym, z nieproporcjonalnie dużą głową i rozdętym, szarym brzuchem, z grzbietem ciemnym, centkowanym w żółte plamy, którą określiliśmy jako gatunek „Skrzydlatej Salamandry”; długość jej wraz z ogonem wynosiła około 1,25 stopy. Spędziwszy koło Szenoku kilka godzin i posiliwszy się dosyła ugotowanymi pstrągami, uplanowaliśmy sposób przejścia rzeki Terechty, co przedstawiało niemałą trudność ze względu na wartkie koryto rzeki, szerokość samej Terechty i rozległe z przeciwległej strony, błotniste wybrzeża. Zanim przeszliśmy rzekę, brat mój, wraz z towarzyszem H., wzięwszy broń, poszedł w górę rzeki, by zbadać miejsce najodpowiedniejsze dla przeprawy. Z wywiadu tego powrócił, niosąc dwa oka-



*Droga do wsi Kotondy*



zy również nam nieznanego wodnego ptactwa. Były to tak zwane tu „warnawki”, ptaki nieco mniejsze od gęsi, lecz większe od kaczek, bardzo leniwe i łatwo dające się podejść. Mięso ich jest nader smaczne, główkę mają czarną, z czerwoną opierzoną szyją, spód i grzbiet szare. Po wystrzale z dubeltówki w górach rozległ się przeciągły, przerażający ryk jakiegoś zbudzonego zwierza. Na zapytanie nasze, przewodnik odrzekł, że musiał to być ryk barsa, afrykańskiego lamparta. Niedźwiedzie zaś tutaj są barwy zupełnie ciemnej, nie zdradzają się rykiem i chętnie zbliżają się do sie-

i zrywające się stada jarząbków górskich świadczyły o stałym, surowszym klimacie. W dodatku zaczął padać śnieg, i powietrze stało się tak mgliste, że przewodnik nasz przestał się orientować i wkońcu orzekł, że zblądził. Nadmienić wypada, że, licząc się z porą letnią, nikt z nas w ciepłą odzież się nie zaopatrzył, i z tego powodu srodześmy zwykle na całym Ałtaju marzli nocami; dni zaś były upalne, i muszki oraz komary tak nieznosnie cięły po twarzy, iż trudno było nam się obejść bez ochronnej gazy. W nocy jedynie ogniska ratowały nas od przemarznięcia i odmrożenia kończyn. Sytuacja



*Dolina rzeki Katuń*

dlisk ludzkich, czyniąc spustoszenia w pasiekach; w stepie jednak rzucają się na stada owiec i nawet konie, które bronić skutecznie się nie mogą, gdyż wzrostem swym nie przewyższają kucyków (pierwotny typ tutejszego konia, tak zwany „Equus Przewalski” dziś jeszcze w licznych bardzo stadach znajduje się tu w dzikim stanie). Przeszedłszy rzekę Terechtę, zaczęliśmy się piąć w górę, jechaliśmy dwie doby na północowschód, szukając najwięcej przystępnych dróg do Kotondy, ostatniej osady przed Bieluchą. Wysokość była już znaczna, gdyż karłowate krzaczki, gdzie niegdzie żorawina

była tem tragiczniejsza, iż znajdowaliśmy się na szlaku, idącym nad urwiskiem górskim o brzegach niezwykle spadzistych, a z drugiej strony napiętrzone góry, pokryte śniegiem, nie pozwalały skręcać nam w bok. Dziesięć godzin marznąć, zgłodniać, musieliśmy brnąć poomacku, gdyż o rozneceniu ognia i ogrzaniu się przy ognisku nie mogło być mowy: ani drzewka, ani krzaku, nadającego się na opał, nie było; ten dzień był dla nas wszystkich pamiętny, było to 24 czerwca. Gdyśmy, przybici, polecali się Bogu, jakiś tupot, połączony ze rzeniem czy wyciem, przerwał nagle ciszę.



Sądziliśmy, że tysiące rozszalałych wilków, zwęszywszy ludzi, pędzą na nas. Należy zaznaczyć, że okolice Bieluchy obfitują w wilki o sierści czerwonej, jakie spotyka się zwykle w Kordyljerach. Na szczęście cała ta gromada, której długą i szeroką sylwetkę mieliśmy przed oczami, biegła powyżej nas, o czym świadczyły rozrzucone w szalonym pędzie kopytami kamienie — był to tabun dzikich koni, szukający schronienia w tych odludnych stronach. Przekonaliśmy się o tem dopiero nad ranem, gdy, na nasze szczęście, spotkaliśmy koczujących Kałmyków, zapewne polujących na

pragnęły wycieńczone nasze organizmy. Przyzwyczajeni do samowystarczalności, postanowiliśmy i tym razem nocleg spędzić pod naszym namiotem, a dwóch z nas, pomimo śmiertelnego znużenia, ofiarowało się udać na łowy. Już po krótkiej wędrówce ujrzeli oni zdala przemykającego kozła górskiego, zwanego „Morałem”. Morały niezmiernie cenione są w Ałtaju, w Mongolji i Chinach, gdyż sproszkowane ich rogi posiadają cudotwórcze własności leczenia od wszelkich zaraźliwych chorób. Według opowiadań tubylczej ludności, kozły te w pewnych okolicznościach dają się chwycić żyw-



*Trakt czujski*

konie, i którzy z ciekawością pytali, w jakim kierunku zbiegł im cały tabun. Niebawem rozjaśniła się mgła, i po kilkugodzinnej wędrówce dotarliśmy do małego zadrzewienia, wśród którego widniała jurta, przez jedną zamieszkaną osobę. Gdyśmy się jednak zbliżyli do tego szałas, Kirgizka, trzymająca dziecko na plecach, stanowczo zabroniła nam wstępu, mówiąc: „gospodarza niema, nikt nie ma prawa przejść tych progów”. Niegościnnie przyjęci, skostniaли i zgłodzeni, staliśmy bezradni przez chwilę, myśląc nad sposobem urządzenia noclegu i zdobycia chociażby minimalnego posiłku, którego

celem; a więc, gdy Morały takie, znalazłszy się na terenie skał solnych, tak zwanych „sałancy”, w zapamiętaniu liżą sól, łatwo wówczas myśliwemu podejść i chwycić kozła na linkę. Między innemi, w powrotnej drodze z Bieluchy, u pewnego z syberyjskich kolonistów widzieliśmy te kozły w ilości 100 sztuk w ogrodzeniu, które gospodarzowi udało się opisanym sposobem pochwycić. Ponieważ wspomniany powyżej Morał był nie na odległości strzału, towarzysze nasi udali się w poszukiwaniu ptactwa, łatwiejszego do upolowania. Jakoż wkrótce przynieśli kilka kuropatw górskich o białem

upierzeniu, wydających niezwykle wrzask po każdym strzale i posiadających smak niepodobny do naszej kuropatwy.

Zwinawszy obóz i udając się w dalszą drogę, spytaliśmy naszego przewodnika o powod tak złego przyjęcia przez mieszkankę jurty. — „Baryń, odrzekł przewodnik, tu od roku krążą takie wieści, że na dalekim zachodzie jest biały car Wilhelm Krwawy, który rozsyła do Kirgizów i Kałmyków swoich agentów, by policzyli ludzi i stada koni, gdyż chce on wszystko zawojuować aż hen do Bieluchy (w pojęciach tutejszych mieszkańców Bielucha stanowi koniec świata), nic więc dziwnego, że na każdego o białej twarzy i okrągłych oczach patrzą z podejrzeniem”. W drodze do Kotondy biały arak (napój tu sporządzany z mleka kobyłego i posiadający własności alkoholu) rozwiązał język naszemu przewodnikowi, więc ksiądz i moi towarzysze słuchaliśmy jego opowiadań, dotyczących się miejscowych obyczajów, wierzeń i przesądów. Przedewszystkiem klimatyczne warunki tutejsze powodują, że 15-toletni mężczyzna staje się fizycznie dojrzały, żeni się i tworzy własną rodzinę; nie opuszcza jednak domu rodzicielskiego, tylko zamieszkuje przy nim, rozszerzając odpowiednio ściany chałupy, tworząc pod jednym dachem nieraz rodzinę, złożoną

z kilkudziesięciu osób. Wobec tego nierzadko się zdarza, że prapradziad rządzi rodziną. Ten najstarszy w rodzie ma przywilej spania na łóżku, wyłożonem wielką ilością poduszek i póki on żyje, nikt z członków rodziny nie ma prawa używać takiej wygody. Wszyscy śpią na podłogach w pobliżu pieców, i tylko goście przysługują przywilej korzystania z łóżka patriarchy rodu. Większość ludności tutejszej rekrutuje się z koczujących Mongołów, zamieszkających w stepach Tatarów, emigrantów syberyjskich, którzy tu zakładają kolonie, oraz dezertarów chińskich. Wszystkie te napływowe elementy żyją we względnej zgodzie, hołdują nieraz jednakim wierzeniom, obchodzą wspólne święta, jak na przykład święto barana, stosują swoistą medycynę i uważają Ałtaj za kraj najbogatszy na świecie. Zdarzają się jednak wśród koczowniczych plemion i takie, które starają się napadami i rozbojami powiększać swe mienie, ale fakt taki szybko łączy zagrożonych, różnorodnych mieszkańców i, posilkując się obyczajowym kodeksem praw, wymierzają sobie doraźną sprawiedliwość. W jednym z takich wypadków byliśmy proszeni przez mieszkańców osady, aby w ciągu nocy niepokoić okolicę wystrzałami z dubeltówek, gdyż w sąsiednim lesie zasiedli bandyci, czyhający na stado



*Obozowisko wśród puszczy Ujmońskiej*





*Chłop „cudotwórca” zaklina ukąszenie żmii*

koni. Ponieważ miejscowa broń palna, działająca na przestrzeń trzydziestu kroków, dobrze napadającym jest znana, przeto huk karabinu i kilku dubeltówek dał bandytom wiele do myślenia, i nad ranem, gdyśmy się zbliżyli do lasu, zastaliśmy tylko ślady ich obozowania. Dobrnawszy po dwóch dniach do Kotondy i nic po drodze nie zauważywszy ciekawego, prócz niektórych gatunków sępów i dzikich kóz, zdecydowaliśmy się tu utworzyć radę wojenną i opracować plan zdobycia. Biełuchy. Dla skutecznego dostania się na Biełuchę należało wejść na leżącą na wysokości sześciu tysięcy stóp górę Soptan, skąd Biełucha widna jest jak na dłoni. Zajęło nam to około trzech dni. Binokle Zeissa były tu dla nas pożyteczniejsze, niż topograficzne wskazówki Szaposnikowa. Zdaniem wszystkich nas, jak i zarówno przewodnika, dotrzeć do wierzchołka Biełuchy jest zadaniem przy naszym technicznym zaoprowizowaniu niepodobnem. Jeszcze ze 3.000 stóp po wystęпах skalnych, chwytając się niskopnących roślin, udałoby się dotrzeć, ale powyżej widzieliśmy jedną zwartą masę śniegu, a nad nim sterczące lodowe skały. Jedynie aeroplan, zdaniem naszym, zbada wierzchołek Biełuchy, gdyż człowiek na własnych nogach uczynić tego

nie będzie zdolny. Zdecydowano trzymać się w powrotnej drodze znanego traktu, wiodącego przez niezmierzone lasy cedrowe, przecinane częstemi ruczakami, płynąciami z góry Biełuchy. Tu się zaczęły nieprzewidywane zdarzenia, które znacznie zatruły nam humor. Przedewszystkiem mnogość wilków, które, wałęsając się stadami, szukając żeru, zmuszały nas dniem i nocą do niezwykłej czujności. Dawana w pewnych odstępach salwa trzymała tych rabusiów na przyzwoitej odległości. Pnąc się lasem pod górę, o mały włos nie natknęliśmy się na niedźwiedźcę, bawiącą się z swym małym, a nadomiar nieszczęścia, gdyśmy zatrzymali się nad brzegiem rzeczki, która nawet nazwy tu nie miała, brat wraz z towarzyszem zapuścił się w nadbrzeżne trawy, by dobrnąć do sterczącej skały, na której orły założyły swe gniazdo. W tym czasie jednego z naszych kompanjonów, Czajkowskiego, który przez ciekawość szedł tuż obok, ucięła w nogę żmija z gatunku, podobnego do „Fair de lanc”, często spotykana na Kostaryce; jest ona tak zwinna i sprężysta, że z ziemi skacze do twarzy człowieka. Krzyk przerażenia, który wydobył się z piersi ukąszonego, wszystkich nas w jednej chwili postawił na nogi. Przewodnik,





Wodospad Szenok

usłyszawszy z opowiadań towarzysza, jak wyglądała żmija, machnął ręką, orzekłszy: „Trzeba kopać dół — nie wyżyje!” Istotnie miejsce ukąszenia zaczęło brzęknąć, i po godzinie noga zmieniła się w nieforemny, nieruchomy wałek. Ksiądz na zaimprovizowanym ołtarzu odprawił Mszę św., wznosząc gorące modły o ratunek; tem bardziej był zdarzeniem tem przejęty, iż w zesłorocznej ekspedycji jeden z naszych towarzyszy utonął w wirach rzeki. Tymczasem przewodnik po dłuższym namyśle rzekł, iż jedynym ratunkiem może tu być tylko zamówienie czarodzieja. Czarodziej ten jednak mieszkał o 30 klm. w górach; ksiądz nasz, który na każdym kroku walczył z przesadami, poruszony współczuciem dla nieprzytomnego naszego towarzysza i przewidując rozpacz matki w razie utraty syna, wbrew swoim przekonaniom — przyzwolił na interwencję znachora.

Przygotowaliśmy się niezwłocznie do drogi i, obandażowawszy chorego, co koń wyskoczy pędziliśmy do chałupy starca. Niezwykły nasz pośpiech i sterczące na plecach fuzje spłoszyły po drodze licznie zebranych na polance leśnej tubylców, którzy przed ucieczką doleli jakiegoś płynu do ogniska i, schwyciwszy dzieci i starców na ramiona, z niezwykłą szybkością skryli się w gąszczach leśnych. Płomień buchnął do góry, i przy jego oświetleniu ujrzeliśmy wiszącego na żerdzi barana. Była to widocznie jedna z rytualnych uroczystości, której obecnością białej twarzy splugawić nie wolno. Płyn, dolewany do ogniska, był zapewne ropą naftową, która w wielu miejscach Ałtaju sączy się wprost na powierzchnię. Czarodziej, obejrzaawszy chorego, którego twarz i cały tułów już opuchły i który zaledwie dawał oznaki życia, pochylił się nad chorym bliżej, położył ręce na miejsce ukąszenia i począł wymawiać cały szereg zaklęć. Pracę miał niezwykłą, gdyż wstał obłany potem, rzekłszy: „Już go uzdrowiłem!” I oto niepojętym dla Europejczyka sposobem chory, już niemal obiema nogami na tamtym świecie — przychodzi do zdrowia i po trzech dniach już uczestniczy z nami w polowaniu na zórawie, których tysiącami niejednokrotnie tutaj spotykaliśmy. Po ośmiu dniach byliśmy w Czarnym Anuju, miejscowości niezwykle malowniczej, zdobnej w jeziora, góry i lasy, o cudownym, łagodnym klimacie, uważanym przez syberyjczyków za pierwszorzędne uzdrowisko. Są tu źródła o dziwnym chemicznym składzie, któremi leczą się w najrozmaitszych dolegliwościach. Z Czarnego Anuja udaliśmy się brzegami rzeki Koksui w głąb kraju. Niezwykła flora zwróciła naszą uwagę: mijaliśmy pola o niezwykłej ilości barwnego kwiecica, na podobieństwo Holandji; gdyśmy się znowu znaleźli w lesie, precudne nieraz okazy drzew wprowadzały nas w dziki wprost zachwyt: próbowaliśmy np. raz objąć we troje jedno drzewo i nie mogliśmy. Okolice rzeki Koksui są bodaj najbogatsze na Ałtaju. Gdyby nie surowa rewizja podczas rozszalałej już wojny, moglibyśmy zademonstrować śliczne okazy nie tylko rzadkich minerałów i metali, wśród których samorodne w postaci ziarenek złota nierzadko się trafiały, ale i niektóre okazy ptaków, jak np. rodzaj





*Wbród przez Czarny Anuj*

kraski z wygiętym dziobem papugi, którą sam upolowałem, a z którą w Bijsku musiałem się rozstać. Niezwykła ilość gronostaj, skaczących po skałach i drzewach, urozmaicała nam drogę; kuny i sobole, wydry różnych rodzajów co krok migały przed nami. Nie dziw, gdyż rzeka Koksus obfituje w niezwykłą ilość ryb. Kirgizi utrzymują, że do tutejszych lasów cedrowych czasem zagląda i tygrys, nęcony widocznie obfitością zdobyczy.

Coraz trwożliwsze wieści o wojnie i głucho szepty o rewolucji i uwięzieniu białego cara przyśpieszyły nasz powrót. W samą też porę zdążyliśmy, gdyż była chwila odcięcia wszelkiej lokomocji, i rozwydrzeni żołnierze nikogo oprócz rewolucjonistów nie wpuszczali do pociągu. Dwa dni jechaliśmy w międzynarodowym ekspresie, idącym z Władywostoku, na tendrze, suto opłacony maszyniście.

W opisie swym ominąć nie mogę jeszcze jednego. Otóż, gdyśmy się w Bijsku przez jakiś czas zatrzymali, badając tutejsze właściwości życia ludzkiego, spotykaliśmy się nieraz z takimi typami, które do żadnych

narodowości się nie przyznawały, nazywając siebie jedynie „inowiercami”; twierdzili, że co do trybu swego życia nie są oni podobni ani do Tatarów, ani do koczujących Kałmyków, najwięcej może do kolonistów syberyjskich; jedyną i zasadniczą różnicę, dzielącą ich, stanowi sposób żegnania się: mianowicie, gdy tamci żegnają się, kilka razy czyniąc krzyż, oni — tylko raz. Po dłuższych inościanach doszliśmy do przekonania, że byli to potomkowie zesłanych na Sybir Polaków. Nadto dodać należy, że wszystko, co warszawskie — w takim Bijsku uchodzi za najlepsze; spotykaliśmy się np. z takimi sztyldami, jak „warszawski fryzjer”, „warszawski krawiec” i t. d., pomimo że właściciel danego zakładu nie miał nic wspólnego z Warszawą. Możliwe, że ongiś Polacy akcentowali tu swoje pochodzenie, reklamując po swojemu zresztą też w całej Rosji znane, niektóre działy przemysłu; ciemni Azjaci nieświadomie i nadal używali słowa „warszawski”, dla lepszej widać reklamy, spotykaliśmy bowiem i takie dziwolągi, jak „warszawski dziegieć” lub też „warszawska herbata”.

# Epidemje obłądu

Przewertujmy kilka starych książek. Zbute-  
wiały kartki, oprawne w skórę cielecą, kry-  
ją w sobie opisy nieprawdopodobnych wy-  
padków.

Epidemje obłądu. Całe wioski, miastecz-  
ka i miasta, ogarnięte histerją, płasawicą,  
okrutnemi halucynacjami, w których szatan  
odgrywa dominującą rolę — oto czem żyły  
wieki XVI i początek XVII, czego lękali się  
możni i biedni, nad czem głowili się najtężsi  
prawnicy, teologowie i lekarze ówcześni.

Po strasznych wojnach, gdy jeszcze nie  
zdążyły ostygnąć zgłiszczą stosu, na którym  
spłonęła Joanna d'Arc, odkryto w okolicach  
Lozanny tajne stowarzyszenie zwolenników  
kultu szatana. Tak przynajmniej głosił akt  
oskarżenia.

Był to pierwszy wypadek masowego obłą-  
du. Członkom tego związku zarzucano ludo-  
żerstwo i wiele innych obrzydliwości. Do-  
wodów żadnych nie było. Oskarżenie opie-  
rało się na krążących uparcie pogłoskach,  
ale to wystarczyło, by prokurator zarządził  
surowe śledztwo. Aresztowano kilkaset osób.  
Oczywiście, znaleźli się wśród nich ludzie  
słabej woli, którzy woleli odpowiedzieć  
twierdząc na wszystkie pytania i wyrazić  
skrucę, niż poddać się łamaniu kości na  
kole, co i tak do niczego nie prowadziło.

A więc posypały się zeznania. Jeden  
z oskarżonych, na widok kata trzymającego  
rozpalony pręt żelazny, przyznał się do zna-  
jomości z djabłem oraz do wielu niepraw-  
dopodobnych zbrodni. Za przykładem pierw-  
szego nastąpiły zeznania innych oskarżo-  
nych i powstał olbrzymi materiał obciąża-  
jący, urozmaicony fantazją ludzi, którzy  
kłamia, byle uniknąć tortur.

Działo się to w roku 1436. Wiara w moż-  
liwość obcowania z szatanem wydała smut-  
ne owoce.

Wkrótce we Flandrii zachodniej wybuchła  
gwałtowna epidemja obłądu. Chorzy są za-  
sugestjonowani do tego stopnia, iż nie wą-  
pią nawet, że służą szatanowi.

W roku 1484 papież Inocenty VIII wyda-  
je alarmującą bullę, w której jest już mowa  
o kilku epidemjach, mianowicie w Kolonji,  
Moguncji, Trewirze, Zalsburgu i Bremie.

W wielu miastach ogłoszono szczegółowe  
instrukcje na temat: — jak należy postępo-  
wać, by ustrzec się zetknięcia z djabłem.  
Skutek tych publikacyj był, oczywiście,  
wprost przeciwny, wzmacniał bowiem wśród  
ludu przekonanie, że zewsząd czai się nie-  
bezpieczeństwo, z którym walka jest ponad  
przeciętne siły.

W całej Europie zaczęły się przytrafiać  
coraz częstsze wypadki masowych halucy-  
nacyj. W roku 1491 w klasztornej szkole  
żeńskiej w Cambrai wybuchła niesłychane  
zamieszanie. Dziewczętom ukazuje się dja-  
beł. Ogarnięte paniką, porzucają mury  
klasztoru i z krzykiem rozbiegają się po  
okolicznych ogrodach. Lęk, który je ściga,  
jest tak wielki, że wdrapują się na drzewa,  
na dachy, wykonywają fenomenalne skoki.  
Inne naśladują beczenie owiec, miauczenie  
kotów, szczekanie psów. Niektóre z obłą-  
kanych zaczynają mówić po grecku, po łaci-  
ninie, to znów przepowiadają przyszłość. Po  
powrocie do przytomności wszystkie ucze-  
nice twierdzą zgodnie, że djabła sprowa-  
dziła do klasztoru niejaka Janina Pothiëre,  
skądinąd osoba ciesząca się jak najlepszą  
opinją. Aresztowano ją. Wzięta na tortury,  
przyznała się do 434 spotkań z djabłem.  
Zmarła w więzieniu w Cambrai.

W rok później w królestwie Nawarry, na  
placu miasta Estella, wychłostano publicz-  
nie batami sto pięćdziesiąt kobiet. Wszys-  
tkie przyznały się do oddawania czci djabłu,  
który ukazywał im się podczas sabatu jako  
czarny kozioł. Przyznały się do smarowa-  
nia ciała wydzielinami kruków i ropuch, co  
miało im ułatwić fruwanie w powietrzu na  
miotle.

Gorzej obeszli się z czarownicami sędzio-  
wie z Saragossy. Zamiast chłosty, spalili je  
na stosie.



Zupełnie inne objawy towarzyszyły wypadkom obłąkania w Lombardji. Czarownice włoskie charakteryzuje wiara w możliwość przeistaczania się w zwierzęta. Kobiety te znały jakoby magiczną formułę, po wymówieniu której stawały się kotkami, co im pozwalało wślizgiwać się do cudzych mieszkań, nie wzbudzając podejrzeń. Odwiedzały zwykle liczne rodziny, przenikały do sypialni i ssaly krew śpiących niemowląt. Wargi, szyja, piersi, ramiona — oto ich ulubione miejsca, na których matki odnajdywały nazajutrz ślady kocich zębów.

dzie w miejscach przez nich wskazywanych nigdy nie znajdowano ludzkich kości, ale dwu wilkołaków: Piotra Burgot i Michała Verdung, którzy upierali się przy swych twierdzeniach, spalono w Poligny na stosie.

W połowie XVI wieku szerzy się straszna epidemja chorób nerwowych. Zapadają na nie gromadnie mieszkanki klasztorów w Holandji, Brandenburgji, prowincjach nadreńskich i we Włoszech. Pierwsze oznaki mającego nastąpić obłąkania ukazują się zwykle podczas Wielkiego Postu, co można wytłumaczyć osłabieniem organizmu.



*Pochód pływających wyjców. Pod bramami miasta Bordeaux przyjęto ich salwami z muszkietów*

W roku 1521 zjawia się w górach jurajskich nowa odmiana obłąkańców. Na widownię występują wilkołaki, t. j. mężczyźni, przeistaczający się w wilków. Trwoga ogarnia górali. Samorządnie organizują zbrojne ekspedycje, wyławiając podejrzane osoby.

Z aktów, jakie nam pozostały, wynika, że nieszczęśliwi obłąkańcy święcie wierzyli w brednie, powstałe w ich własnej lub cudzej wyobraźni. Nawet bez tortur przyznawali się do pożerania kobiet i dzieci. Wpraw-

W pewnym klasztorze, po miesiącu niezwykle surowego „suszenia”, zakonnice po-  
zrywały się raptownie ze snu i z przeraźliwym śmiechem wybiegły na korytarz, krzycząc, że niewidzialne dłonie łaskoczą je pod podeszwami. Nie mogąc ustać na miejscu, przestępowały z nogi na nogę lub padały na ziemię, wijąc się w konwulsjach. Niektóre wybuchały spazmatycznym płaczem, to znów podskakiwały pod sam sufit i padały nieprzytomne. Inne czołgały się na łokciach,





*Przesady w Italji. Czarownica pod postacią kotki wysysa krew z niemowlęcia*

wlokąc za sobą bezwładne nogi, a były i takie, które wdrapywały się na wysokie parapety okien i skakały głową na dół, nie odnosząc żadnego szwanku.

Powtarzało się to dość często i trwało okrągłe cztery lata. Ciekawy szczegół, że po tak szalonym wstrząsie zakonnice uspokajały się w ciągu kilku minut i nie odczuwały zmęczenia.

Oczywiście, i w tym wypadku zaczęto szukać djabła. Nieszczęście chciało, że podejrzenie padło na pewną staruszkę z pobliskiego miasteczka. Aresztowano ją i poddano torturom, których nie przeżyła.

Daleko poważniejsze objawy towarzyszyły epidemji obłądu w żeńskiej szkole klasztornej w Kintorp pod Strasburgiem. Wychowanki, przeważnie córki okolicznej szlachty, cierpiały na napady strasznych konwulsyj. Gdy jedna z nich, w swej celi, zaczynała zdradzać symptomy zbliżającego się ataku, jej koleżanki, znajdujące się w innych celkach, odczuwały niepokój i również zaczynały szaleć.

Jeżeli wypadek taki zdarzał się w sali ogólnej lub w ogrodzie, wtedy dziewczęta nie mogły opanować rozpetanych nerwów. Z dzikim krzykiem skakały sobie wzajemnie do oczu, drapały się po twarzach, gryzły, wyrzywały włosy. Biada obcemu, który dostał się w ich obroty. Jeżeli wyszedł z życiem, to długo musiał się leczyć z ran, zadanych zębami.

Badane przez przełożone, wychowanki nigdy nie obwiniały się wzajemnie, lecz wszystkie skarżyły się na piekący ból pod podeszwami.

Wkrótce epidemja przeniosła się do pobliskiego miasteczka, a nawet na przedmieścia Strasburga. Pewien proboszcz wezwał do siebie pięciu początkujących opętańców i jał im tłumaczyć, w jaki sposób należy postępować, by pozbyć się strasznej choroby. Ale goście, zamiast wysłuchać rad proboszcza, oświadczyli, że śpieszą się na sabat. Powsiadali na krzesła jak na konie i zaczęli brykać po pokoju, zachęcając krzykami swe drewniane rumaki do galopu. Jeden z warjatów podjechał w ten sposób do drzwi.

Najdziwniejszy bodaj objaw obłąkania zanotowano w roku 1574 w Sabaudji. Jedna z mieszanek miasteczka Valery, ciesząca się sławą zatwardziałej czarownicy, oskarżyła się sama publicznie o potworne praktyki. Człowiek zdrowy na umyśle nigdy nie byłby w stanie wymyślić czegoś równie bezsensownego. Aresztowano ją i stawiono przed sądem.

Opowiadanie biednej warjatki zgroza przejęło sędziów, pisarzy i świadków. Kobieta ta zeznała, że od kilkunastu lat służy djabłu. Przyjaźń jej z księciem piekieł zaczęła się w następujących okolicznościach. Pewnego wieczoru, gdy przechodziła przez łąkę swego brata, rudy lis zastąpił jej drogę. Zwierzę przemówiło do niej ludzkim językiem i podało się za djabła Morguet'a. Obiecał jej, że nigdy nie będzie się skarżyła na brak pieniędzy, ani toalet, jeżeli niezwłocznie padnie przed nim na kolana i pocałuje go w ogon.

Propozycja bezczelnego djabła oburzyła niewiastę do głębi, ale po długich targach doszła do wniosku, że warto się jednak upokorzyć za taką cenę, i spełniła jego życzenie. Morguet wyrwał jej z głowy jeden włos, a wzamian ofiarował białą pałeczkę, przy



której pomocy mogła dokonywać rzeczy niezwykłych. Naprzykład, jeżeli wskoczyła na konia, to miała możność przeniesienia się w mgnieniu oka na największą odległość, choćby na szczyt góry, na której odbywał się sabat czarownic. Przewodniczącym tych zebrań był Marguet, a przebieg ich niczem nie różnił się od sabatów, opisanych przez inne czarownice.

Kobieta zeznała prócz tego, że w orgjach z djabłami brali udział jej mąż, córka oraz niemal wszyscy krewni. Przy każdym przesłuchaniu wstawiała świeże szczegóły i wymieniała nowe nazwiska. Oczywiście, nikt z sędziów nie wątpił o zeznaniach warjatki. Aresztowani krewni wskazywali nowe nazwiska domniemanych czarnoksiężników. Afera przybrała zastraszające rozmiary.

Jeden z pisarzy współczesnych uskarża się w liście do przyjaciela:

„W Sabaudji i krajach ościennych mnogość czarownic jest tak wielka, że całe wsie i miasteczka zostały opanowane przez zarazę, a uczciwy człowiek nigdy nie jest pewien, z kim ma do czynienia”.

Grzegorz z Tuluzy, profesor uniwersytetu, w trzydziestym czwartym tomie swego kapitalnego dzieła o prawodawstwie tak charakteryzuje wypadki, jakie zaszły w jego rodzinnem mieście:

„Czarownice z Tuluzy, sądzone przez senat w roku 1577, były liczniejsze od wszystkich pozostałych przestępców tego miasta. Wiele z nich skazano na chłostę publiczną i więzienie, a czterysta spalono żywcem, co nikogo nie zdziwiło, gdyż wszystkie miały na ciele djabelskie piętna”.

Owe djabelskie piętna — były to poprostu miejsca niewrażliwe na ból, co często i dziś można spotkać u histeryczek. Aresztowaną czarownicę kaci nakłuwali szpilkami, jeżeli znaleźli taki kawałek skóry — kobieta była zgubiona. Jest to bardzo charakterystyczne dla XVI wieku, że ludzie tak światli, jak Grzegorz z Tuluzy, wierzyli w nieomyłność djabelskiego piętna.

W rok po tych wypadkach (1578) niejaka Janina Hervilliers z miasteczka Verberie pod Compiègne została aresztowana za czarnoksięstwo. Podczas rozpraw sądowych wyszło najaw, że matka oskarżonej była również czarownicą i spłonęła żywcem na stosie w Senlis. Janina Hervilliers zeznała bez

tortur, iż z chwilą przyjścia na świat była poświęcona djabłu przez matkę. W dwunastym roku odwiedzała już sabaty czarownic, co trwało bez przerwy do ostatnich czasów, t. j. przeszło trzydzieści lat. Rozumie się, że zeznania te wystarczyły sądowi do wydania potępiającego wyroku.

Na tle szalejącego głodu przeżyło miasto Avignon niebywałe wstrząśnienie w roku 1582. Ludność, karmiąca się przeważnie korzonkami i chlebem z siana, ulegała gromadnie strasznym halucynacjom. Całe legiony djabłów maszerowały na miasto, w którym spontanicznie wybuchała panika. Mieszkańcy porzucali domy i biegli do kościołów, szukając ocalenia przed zastępami księcia piekieł.

Obłąd, spowodowany lękiem, szerzył się zastraszająco w Lotaryngji. Fakt godny uwagi: w kraju tym opętani szli na śmierć dobrowolnie, oskarżali się osobiście, zeznawali straszne szczegóły bez tortur i наконец, gdy ich prowadzono ku stosom, wyrażali szaloną radość, że wreszcie ogień oczyści ich ciała i dusze, opanowane przez djabłów. Nie-



*Galop na krześle. W ten sposób opętany w Strasburgu wyobrażali sobie jazdę na sabat czarownic*



k którzy, nie czekając na wyrok sądu, wieszali się na kratkach więziennych, inni wyskakiwali z okien lub podrywali sobie gardła, byle przyspieszyć śmierć, dającą ukojenie.

Mikołaj Remy, asystujący przy mnóstwie tego rodzaju procesów, podaje w swej książce zadziwiające szczegóły z życia czarownic. Wszystkie one mają na ciele znaki od pazurów diabła. Zdarzają się też często u tych kobiet czarne plamki na plecach i biodrach. Jeżeli w taką plamkę wbić szpilkę, to nigdy krew nie pocieknie, co jest najlepszym dowodem djabelskiego pochodzenia znaku. Czarownice wraz z demonami sieją po polach szarańczę, przyrządzają trucizny z trupów, wygrzebanych na cmentarzyskach, przedostają się niedostrzegalnie do mieszkań i mordują niemowlęta, rzucają uroki, sprowadzają choroby, nawałnice gradowe, morowe powietrze, pożary, powodzie, fruwią na miotłach, a mężów swych, by nie podejrzewali złego, potrafią uspić na czas dowolny.

Straszne to były czasy. Lęk przed diabłem przyćmiewał najkrytyczniejsze umysły. Opętanci zbierali się partjami, tworzyli pochody i z krzykiem, z pianą na ustach, wędrowali po kraju, wzniecając przerażenie i popłoch. Obłąd miał wszelkie cechy choroby zakaźnej. Ukazanie się procesji wędrujących warjatów stwarzało podatny grunt do dalszego rozwoju epidemii. Na widok wyjących szaleńców osoby wrażliwe porzucały dom, rodzinę i biegly naoslep lub przyłaczaly się do pochodu. Człowiek taki był już stracony.

Wśród wędrownych obłąkańców zdarzały się niezwykle odchylenia od przeciętnego typu. A więc, obok procesji wyjców, można było spotkać pochod obłąkanych tancerzy, co stwarzało sytuację bardzo niebezpieczną, gdyż płasy działały podniecająco na widzów. Szał dzikiego tańca ogarnął naprzykład cały Luksemburg. Po dziś dzień odbywają się w tym kraiku pochody tańczące na pamiątkę owej epidemii.

Wędrowki obłąkanych, jak już wspominaliśmy, budziły ogólną grozę. Na wieść o zbliżającym się niebezpieczeństwie bramy miast zamykano, wioski pustoszały, kto żyw uciekał i krył się po lasach.

Jedno z najstraszniejszych nieszczęść, jakie w owych czasach nawiedziły Francję, była bezwątpienia wielka epidemia obłądu w okolicach Bayonny i Saint Jean de Luz. Kraj ten, dziś należący do departamentu Basses Pyrénées, zamieszkiwała przed wiekami ludność ciemna i dzika. Zdolność do egzaltacji, właściwa rasie Basków, przyczyniła się niemało do wybuchu okrutnej choroby nerwowej, która całkowicie objęła dwadzieścia siedem parafij, a pochody szaleńców docierały nawet do bram Bordeaux, gdzie je witano salwami z muszkietów.

Prezes trybunału cywilnego miasta Bordeaux, pan Espanget, oraz jego prawa ręka, doradca Delancre, wyjechali w podróż inspekcyjną do miasteczek, nawiedzonych przez diabłów.

Sledztwo dało obfite wyniki. Mieszkańcy nieszczęsnych okolic przyznali się, przeważnie bez tortur, do oddawania czci czarnemu kozłowi, „wonejącemu wielce szpetnie”, do przygotowywania oszałamiających napojów z krwi dziecięcej, pomieszaney z potem ropuszmy i t. p. Halucynacje ich były tak wyraziste, że nawet w sądzie, podczas rozpraw, witali głośniei okrzykami Belzebuba, który miał ich zachęcać do wytrwania. Ci, których brano na tortury, wpadali w ekstazę, a po



*Szukanie „djabelskiego piętna”. Operację wykonywał kat pod kierunkiem chirurga*



wyprowadzeniu z lochu twierdzili, że nie odczuwali żadnych męczarni.

Przy wielu z nich, podczas rewizji osobistej, znaleziono jaszczurki, ropuchy i węże, ukryte pod podszewką ubrania, co przejmowało dreszczem sędziów i wszystkie osoby, obecne na procesie. Jeden z takich wypadków opisuje Delancre:

„Gdy oprawca, stosownie do sentencji sądowej, rzucił kobietę nazwiskiem Sabaudine do ognia, z włosów jej zaczęły wyskakiwać ropuchy, a była tego mnogość wielka. Lud rzucił się z kijami na gady, a ci, co kijów nie mieli, ciskali kamieniami. Ale pomimo gniewu i zapału zebranego tłumu, nikt nie zdołał zabić pewnej czarnej ropuchy, największej ze wszystkich gadów. Ropucha zatriumfowała ostatecznie nad ogniem, kijami, kamieniami i uciekła, jak demon, w takie miejsce, iż nie umiano jej odnaleźć”.

Wszyscy aresztowani przyznali się do winy i, jak to się zwykle działo, zadenuncjowali mnóstwo Bogu ducha winnych osób. Wystarczyło, by kilka warjatek wskazało na swych proboszczów, których rzekomo miały spotykać na sabacie czarownic, i już czujny Delancre podpisywał rozkaz aresztowania.

Trzech księży spalono w związku z tą sprawą, co wywołało taki popłoch wśród mieszkańców prowincji, że masowo zaczęli uciekać za Pireneje.

Espanget i Delancre spalili w kraju Basków około osiemdziesięciu ludzi.

Epidemja, którą opisaliśmy, była w tej okolicy już czwarta z rzędu. Delancre wspomina o dwu poprzednich z lat 1566 i 1576, przychem w drugim wypadku porucznik gwardji królewskiej, Bonifacy Delasse, z własnej inicjatywy wyprawił na tamten świat czterdzieści osób, oskarżonych o odwiedzanie sabatów.

Częste wybuchy masowego obłądu w Pirenejach, Sabaudji i górach Jurajskich nasuwają na myśl przypuszczenie, czy czasem okolica górzysta nie wywiera tajemniczego wpływu na psychikę.

W roku 1609, gdy Espanget i Delancre kończyli straszną misję wśród basków, wybuchła nowa epidemja szaleństwa w szkole klasztornej sióstr Urszulanek w Aix. Jedną z dziewcząt, niejaka Magdalena de Mandol, córka szlachcica langwedockiego, oświadczyła wobec koleżanek, że w jej ciele za-



*Palenie czarownic. W wielu wypadkach chore kobiety szły na stos chętnie, bez słowa protestu, uważając śmierć męczeńską za jedyną drogę do zbawienia*

gnieździł się cały legion djabłów, którzy lada chwila wyskoczą, by opanować resztę pensjonarek.

Słowa te zostały przyjęte chóralnym okrzykiem trwogi. Dziewczęta rozbiegły się po celach, a większość, jeszcze tego samego dnia, zaczęła zdradzać objawy anormalne. Rówieśniczka Magdaleny, Ludwika Capel, poczuła w sobie trzech djabłów, z których jeden przedstawił się jej jako Verrine.

A dalej dzieją się rzeczy oburzające. Magdalena i Ludwika wskazują zgodnie na proboszcza Gaufridi, znanego z pobożności i dobrych uczynków.

— Ależ to święty człowiek! — przerywa im jeden z sędziów.

— O tak — odpowiada Ludwika — pozornie jest niewiniątkiem, ale jego zbrodnie wołają o pomstę do Boga.

A Magdalena dodaje, wskazując na przegnęzionego księdza:

— Dziwicie się, czemu jest taki smutny, dlaczego nie je i nie pije, dlaczego nie bie-



*Proboszcz Gaufridi przed sądem. Ludwika Capel oskarża zanego księdza o zaprzecanie się diabłu*

rze do ust wina? Otóż wiedźcie, człowiek ten pija krew niemowląt, którą mu dostarczają wiedźmy!

Proboszcz Gaufridi, człowiek wykształcony, bogobojny i ogólnie szanowany, dostał się do więzienia na podstawie zeznań warjatek. Początkowo bronił się zapamiętale, lecz sędziowie więcej ufali denuncjatorce, i zacny staruszek zrozumiał wkońcu, że ma niewielkie szanse wyjścia cało ze sprawy. Zmęczony długim pobytom w ciemnicy, otoczony przez zgraję obłąkanych, uległ ogólnej psychozie i zaczął sam wierzyć w zarzucane mu zbrodnie.

Po ośmiu miesiącach więzienia proboszcz nie jest już sobą. Straszne wizje prześladowały go we dnie i w nocy. Majaczą mu się sceny sabatu. Widuje diabłów, rozmawia z nimi. Wreszcie, stawiony przed sądem, przyznaje

się do wszystkich zarzutów, opowiada o swych wędrówkach na czarną mszę, mówi — tak, kiedy go pytają, czy się przyczynił do opętania Magdaleny i Ludwika, wreszcie prosi o rychłe skazanie na karę śmierci.

To wystarczyło. Parlament, rozpatrzwszy akta sprawy, wydał dnia 30 kwietnia 1611 roku wyrok, skazujący proboszcza Gaufridi na karę śmierci przez spalenie na stosie. Egzekucja odbyła się w Aix. Kat oprowadzał skazańca po wszystkich zaułkach miasta. Bito w dzwony i walono w bębny. Ksiądz szedł boso z gołą głową, z pętlą na szyi, dźwigając ciężką pochodnię. Spalono go publicznie, a gorące popioły zostały rozsypane w czterech kierunkach świata.

Nikt go nie żałował. Niewinny człowiek, ofiara narzuconej halucynacji, umierał chętnie, pragnąc się pozbyć fikcyjnych grzechów. Jego zeznania, spisane przez pisarza sądowego — wyszły w oddzielnej książce pod tytułem: „Confessions faites par messire Louis Gaufridi”. Książka ta, przeznaczona do opamiętania kandydatów do stanu czarnoskopskiego, wywołała nieoczekiwane skutki. Mianowicie wzmocniła wiarę w potęgę diabelską.

Ucennice z klasztoru w Lille, nad którym przed sześćdziesięciu laty pastwiły się hordy diabelskie, po przeczytaniu zeznań księdza Gaufridi, zaczęły zdradzać objawy pomieszanania umysłu.

Czytając sprawozdania z procesów średniowiecznych, spotykamy się często z objawem rozdwojenia osobowości. Dwie jaźnie, właściwa i narzucona, walczą w jednym człowieku, co daje w rezultacie splót sprzeczności. Czujny sędzia wyławia je skrzętnie i buduje gmach oskarżenia.

Kilkanaście przykładów, jakie pozwoliliśmy sobie zamieścić w tym szkicu, dają pojęcie o rozkwicie chorób nerwowych w XVI i XVII wieku. Być może, uda nam się w przyszłości zebrać materiał, dotyczący najstraszniejszej epidemii obłądu, która nawiedziła miasteczko Loudon we Francji.

*Z-chi*





Napisał

J. Meissner

*Ilustrował W. Ujejski*

Póki nie wyjeżdżaliśmy do Wilna, wszystko było dobrze: nie wyróżniała nikogo i przyjmowała nasze hołdy z jednakowo miłym uśmiechem doskonale wychowanej panny. Wiedziała, że kochamy się w niej nazabój wszyscy bez wyjątku, i ta atmosfera uwielbienia zdawała się jej wystarczać.

Tam, w Bieliszkach, nie było między nami scysyj, nie było wybuchów zazdrości, nie było rywalizacji. Uważaliśmy pannę Olę za kogoś, czyja osoba należy się potrosze nam wszystkim. Uważaliśmy ją za należącą do naszego bataljonu. I tak było najlepiej.

Papa Lipecki patrzył na ten stosunek z wesołym uśmiechem i z całym zaufaniem powierzał nam opiekę nad córką. Wiadomo było, że nie może jej się stać tutaj żadna krzywda: z piętnastu oficerskich szabel bataljonu z pewnością czternaście zwróciłoby się przeciw śmiałkowi, który odważyłby się na wyrządzenie jej przykrości, nie mówiąc o takim, który obraziłby ją czemkolwiek.

Żyliśmy, oddychając subtelnym ciepłem jej obecności, karmiąc oczy pięknnością jej twarzy, poddając stwardniałe w wojnie dusze działaniu jej czaru. Za jej zbliżeniem milkły przekleństwa, łagodniały twarze, odnajdowały się same dawno zapomniane „poprawne formy towarzyskie”. Była naszym dobrym duchem, była łącznikiem z kulturalnym światem, porzuc-

nym od kilku lat dla życia w polu z dnia na dzień, między marszem, bitwą i postojem, między postojem, bitwą i marszem.

Każdy z nas marzył w głębi duszy o czemś więcej. O czemś wyłącznym dla siebie. Każdy sięgał do jej ust i do jej serca; ale tylko w marzeniach. Czuliśmy, że walka o serce i o usta panny Lipeckiej zgasi miłą atmosferę ciepła, zakłóci spokój duchowy wszystkich i... nie da rezultatów: jutro możemy odejść dalej; jutro może nas rzucić nowy rozkaz na nieznaną odcinek frontu; jutro mogą zażądać, abyśmy przemierzali, jak dotąd, śniegi litewskich bezdroży, umierali w jakimś zmarzniętym na kamień okopie lub darli się przez zwały ciepłych jeszcze trupów między opłotki nędznej, zaciekle bronionej wioski; jutro...

Musi przyjść jutro!

— Odpocząć, jeszcze odpocząć w bliskości Oli, w promieniu działania jej uroku!

Tak było w Bieliszkach.

Panna Lipecka wróciła z Francji przed dwoma laty. Wróciła wprost z serca Europy, z Paryża. Więcej: wróciła z serca Paryża, z Quartier Latin, od malarskiej palety École de Beaux Arts. Cisza wiejska przytłaczała ją smętkiem długich wieczorów bez innych rozrywek, prócz książek. Te same twarze, te same rozmowy, ci sami ludzie i — powoli wsączająca się w jednostajność życia nuda. Czasem tylko przelotny kwaterunek oddziały wojska, i znów codzienna szarżyzna.

Wreszcie — nasz bataljon — na dłużej.

Panna Lipecka chciała się bawić: jeździliśmy z nią do Wilna.

Czy to ona szalała z nami po nocnych lokalach? Czy to ona śpiewała wraz z całą salą kabaretów refreny piosenek o bezdennie głupiej treści? Czy ona piła szampana „Pod Niedźwiedziem” i strzelała z naszych pistoletów do wypchanych ptaków na sali? Ona przechodziła z rąk do rąk tańczących oficerów na górze Bristolu, aby każdemu z nas zatruć duszę głębokiem spojrzeniem swych oczu, tak pełnem obietnic, że krew buchala do głowy? Ona ścisnęła nasze dłonie, wbijając ostre paznokietki w skórę lub drażniąc uśmiechem, przeznaczonym, zdawało się, dla wybrańca? Ona? Czy to była ona, ta sama kobieta, która potrafiła raz dawać nam wszystkim złudzenie rodzinnego domu na przelotnym postoju, to znów szarpać nam nerwy, wprowadzać niepokój, rozpalać zmysły, stawiając nas przeciw sobie, jako rywali?

Chciała się bawić, chciała osiągnąć maksimum nastroju nocnej hulanki, chciała rozniecać namiętności, igrać z ogniem, który lada chwila spowodować mógł wybuch pożaru.

A potem wracała do mglistej ciszy rodzinnego domu, by znów stać się jednakowo bliską i dobrą dla nas wszystkich, jednakowo uwielbianą i kochaną bez złej myśli Olą.

Któregoś dnia nad ranem, kiedy już po raz trzeci zmieniliśmy lokal, wyniosłszy się pokolei z balu Lutni i od George'a do Bristolu, Olą, podniecona więcej jeszcze, niż zwykle, wstała nagle od stolika w łóży, przy którym piliśmy, i, skinawszy na mnie, wyszła do hallu, skąd prowadziły schody na górę do sali dancingowej.

Tańczę dobrze, i wyróżnienie tego rodzaju spotkało mnie nie po raz pierwszy, a jednak i wtedy, jak zawsze, ciepłe wzruszenie przepłynęło mi po nerwach wezbraną falą. — Ach, wiem, co to znaczy tańczyć z Olą! Ona oddaje się poprostu w miękkich zwojach melodji tanga, łąsi się w rozlewnych, zaczarowanych dziwnym rytmem bostonach, szaleje namiętnością schimmy.





...piła szampana „Pod Niedźwiedziem” i strzelała z naszych pistoletów  
do wypchanych ptaków na sali...

Tańczyliśmy! Tak, tańczyliśmy.

Te melodie, wyczarowane gorącym, białym słońcem Afryki czy Ameryki Południowej, mają to do siebie, że człowiek zapomina, z kim i co tańczy: przestaje myśleć, nerwami tylko odczuwa rytm...

Pocziwe Litwiny, tańczące „polkę-kokietkę” z przed stu lat, stanęły szerokim kręgiem dokoła nas. Tańczyliśmy...

Czy potrafię opisać czar spojrzenia jej oczu? Oczu gazeli, czy sarny, które znają myśliwi — i oczu, pełnych tajemniczego wyzwania kobiety, które znają poeci? Czy potrafię? — Nie!

To było coś, co działało na mnie jak szampan, jak ogień, jak... ach, nie! Wszystko, co napiszę, będzie zbyt blade i szare. Nigdy nie potrafię słowami wyrazić tego, co się kryło w przepastnej głębi tych czarnych źrenic.

Dawały mi pewność, że to ja jestem kochany.

A zaraz w następnej chwili śmiały się ze mnie, że im uwierzyłem. A zaraz potem błagały o przebaczenie za żart, a potem obiecywały wszystko, a potem... Boże, co za oczy!

Zeszliśmy nadół. Musiałem mieć minę triumfatora: koledzy, najmilsze na świecie lotry, spoglądali na mnie z zazdrością.

Po upływie pół godziny patrzyłem tak samo na jednego z nich, który z kolei stał się wybranym losu... Targała mi serce zażarta, dziobata, wściekła zazdrość.

I tak ciągle...

W Bieliszkach wszystko wracało do normy; przerzuty od nadziei czy pewności zwycięstwa do rozpaczki czy melancholji i rezygnacji — były łagodniejsze, cichsze, powolniejsze — powiedziałbym. Nie wiem, jak oni to znosili. Dla mnie sytuacja po miesiącu stała się ostra, jak brzytwa, którą próbuje się na paznokciu. Codzień wmawiałem w siebie, że Ola mnie kocha, i codzień konałem z zazdrości, wiedząc, że to nie ja.

Aż wreszcie...

15 marca przyszedł rozkaz, na który czekało przeczcucie, ukryte głęboko w zakątkach naszych dusz: pierwszy bataljon zostaje przeniesiony do linii...

Koniec, koniec.

Zapada czarna kurtyna obowiązku. Urywa się nagle jasna, kolorowa nić życia, aby, zmieniwszy barwę, rozwijać się dalej szarą przędzą.

Koniec.

I — błysk nadziei: „bataljon pozostawi aż do odwołania jeden pluton w miejscu postoju, jako placówkę”.

Czasami, grając w pokkera, mam pewność wygranej. Wygrywam.

Wtedy miałem pewność, że to ja zostanę w Bieliszkach. Zostałem.

Patrzano na mnie z zawiścią. Z pewnością! Tak, patrzyli tak na mnie ci ludzie, z którymi sto razy zaglądałem w oczy śmierci. Czy to nie dziwne? — Nie: Ola zostawała ze mną nieledwie sam na sam na przeciąg dwóch, trzech tygodni; może na miesiąc.

Czternaście z piętnastu oficerskich szabel bataljonu było przeciw mnie: na dzień przed wymarszem byliśmy „Pod Niedźwiedziem”, i ja byłem tym, którego ona wyraźnie wyróżniła.

Nazajutrz bataljon wyruszał, żegnany przez pana Lipeckiego i pannę Olę ze łzami patryjotycznego wzruszenia. Śmiałem się, tańczyłem z radości w swoim zamkniętym pokoju: pozwolono mi jeszcze żyć, odpoczywać, kochać i może być kochanym. Cóż znaczą łzy pożegnania dla bohaterów szarej piechoty, odchodzącej na front?





*...palce jej biegną po klawiszach coraz wolniej, leniwiej...*

Mijają dni... mijają dni...

Jesteśmy tylko we dwoje. Ciągna się nieskończenie długo słotne poranki, otulone w szarą marcową mgłę, pełzną powoli południa deszczowych pluch, i dzwoni o szyby deszcz wieczorny smętkiem szarych godzin ciszy.

Patrole, ćwiczenia, raporty... Raporty, ćwiczenia, patrole... Rozkisa glina krętych dróg leśnych i polnych, płynne sylwetki drzew i chat, niekończące się pola.

Jednostajność nawrotów od nadziei do rezygnacji.

Panna Ola nie chce już jeździć do Wilna. Jest jak ten marzec: raz uśmiechnięta słońcem, dobra, i jasna, i ciepła, i dająca wiosnę, to znów kapryśna, chmurna, zimna i jakaś niewytłumaczenie obojętna. Kocham ją, kocham.

Boję się sam siebie: nie mogę o tem myśleć. Mąci mi się w głowie. Szaleję ze szczęścia i nurzam się na samem dnie smutku. Blaski i cienie przesuwają się po mojej duszy, jak słońce i chmury w oknie mego pokoju.

Kiedyż jej „to” powiem? Czekam na moment, który jest tak nieuchwytny jak tęcza, a tak płochliwy jak motyl. Sto razy otwieram usta, i sto razy cień jakiś zamyka je drżeniem swych skrzydeł.

Czy jestem nieśmiały? — Eh, głupstwo: boję się stracić szczęście, iluzję szczęścia.

Czy ona odczuwa, co się ze mną dzieje? — Ba, widzi to dobrze!

Słucha mnie z przyjemnością, kiedy mówię jej dziwne słowa o kwiatkach, słońcu i cieple.

Skąd wzięły się te słowa u mnie? Nie byłem nigdy sentymentalny, i poeci, nawet ci najnowsi, jak Wierzyński i Odynieć, nudzili mnie. A teraz mówię sam o zwarjowanym wiosennym wietrze, o wróblach na dachu, o wiośnie i o winie. Boże, jakież mówię głupstwa!

Ale przemawiają one właśnie tym językiem, którego dotąd nie znałem, który nazywa się z pewnością językiem miłości.

Ola słucha. Czasami w jej bezdennych źrenicach błyska coś, co зда-  
je mi się być iskrą uczucia lub... ironji. Potem zamyka mi dłonią usta  
i siada do starego fortepianu, a może — klawikordu (strach, jak mało wiem  
o muzycznych instrumentach!).

Gra.

To nie o struny uderzają pokryte zamszem młoteczki. To jej paluszki  
dotykają moich nerwów. Wywleka mi duszę nawierzch w srebrnych scher-  
zach Szopena i w jakichś zwarjowanych, namiętnych melodjach Griega,  
i w dawnych, dawnych walcach...

Jak ona gra!

Później melodie zbiegają się w coś niewysłowionego, co podnieca mo-  
je zmysły, każe mi wstać z fotela i całować ją aż do utraty tchu.

Wstaję z fotela i — wychodzę: brak mi odwagi. Jestem tchórz, tchórz!  
Nazajutrz wita mnie zimny jej uśmiech i spojrzenie pełne ironji i współ-  
czucia.

Czego ja się właściwie boję,

Pan Lipecki jest dla mnie miły i uprzejmy. Tak uprzejmy, że stara  
się nie widzieć przy wspólnych posiłkach mego roztargnienia, z jakim od-  
powiadam na jego pytania, i mego zapatrzenia w oczy jego córki. Może  
naprawdę tego nie widzi?

Rozmawiamy o polowaniu, o zasiewach i o wojnie. (Nie znam nu-  
dniejszych tematów). Panna Lipecka uśmiecha się wtedy łotrowsko.  
Uśmiecha się drżeniem prześlicznych rzęs, wygiętych w górę, czarnych jak  
smoła. Ileż powabu ma ten uśmiech!

Popielaty zmierzch, i Grieg. Znowu Grieg.

Struny fortepianu wołają, tęsknią namiętym spletem dźwięków. Kto  
zdoła się im oprzeć?

Mam tego dość!

...Za oknami wyje wiatr i goni po szarem niebie chmury. Czarne mio-  
tły bezlistnych gałęzi drzew kłaniają mu się pokornie, szarpane za włosy.

Mam tego dość!

...Mróz zelżał znowu, i w rozmiękłej ziemi, zesmaganej wichrem i de-  
szczem, znaczą się wyraźnie głęboko zakłęste koleiny wozów. Na chwilę  
wymyka się z pomiędzy bibulastych chmur promyk słońca, zbiedzony i że-  
brzący o zmiłowanie wiosny. Niema dla niego litości.

Mam tego dość, dość!

...Melodie Griega bynajmniej nie pasują do rozchłapanego, zimnego  
popołudnia. Brr... Pan Lipecki pojechał do Wilna. Wróci dopiero jutro...  
Pan Lipecki pojechał. —

A jednak Grieg jest silniejszy, niż wiatr i deszcz, niż żebrzący o zmi-  
łowanie promień słońca i smutek marcowego popołudnia: rozbudza wartki  
potok krwi, zapala pochodnię zmysłów, napina nerwy.

Czy to Grieg?

Mam tego dość! Stanowczo mam tego dość!

Wstaję. Podchodzę do fortepianu. Ola nie widzi mnie: nie przestaje  
grać. Tylko palce jej biegną po klawiszach coraz wolniej, leniwiej. Staję  
za nią. Ach, serce wali jak dzwon. Nagle chwytam ją za ramiona i prze-  
chylam w tył jej głowę. Jestem brutalny: chcę jej ust. Oto czego chcę!

Całuję ją mocno, trzymając cudną głowę i ręce w uwięzi mych moc-  
nych ramion. Nie mogłaby się wyrwać, o nie.

Całuję długo jej usta. Mają smak młodych wiosennych pączków  
drzew. Pulsują żywą krwią; czuję to rozpalonemi wargami. Oddają mi się





*Rozmawiamy o polowaniu, o zasiewach i o wojnie*

te czerwone usta bez oporu; mogę je gryźć, miażdżyć, mogę je całować, jak chcę.

Wyszedłem, trzasnąwszy drzwiami. Niech mi stary Lipecki przyśle sekundantów. Niech się dzieje, co chce!

Poszedłem do swego pokoju w oficynie. Mój ordynans, olbrzymie rude zwierzę napół oswojone, o uśmiechu goryla i łapach zbira, otworzył mi drzwi. Rzuciłem się na łóżko. W głowie miałem pustkę, w ustach słony smak krwi.

— Grigorij!

— Ja, panie poruczniku!

— Wódki... nie, wina, czerwonego wina. Prędko! — Chce mi się pić; w gardle mi zaschło.

Grigorij wyszedł. Splunąłem za nim z obrzydzeniem: był brudny i śmierdział potem.

Wlokły się długie minuty. Na dworze pochłapywał deszcz. Nudny, jednostajny wieczór przeciągał nad ziemią skostniałe ramiona zmierzchu. Zapłakane szyby sepleniły skarżący się pacierz słoty. Wiatr pogwizdywał głupio w kominach i prosił o przytułek. Było mi podle.

Ktoś zastukał.

— Wlazł! — ryknąłem, nie odwracając się od ściany. Ciche, szeleszczące kroki.

— To ja.

Popłynęło przez powietrze jedwabiem i narcyzami — „to ja”...

— Ola!

Piliśmy wino.

Piliśmy rozkosz tęskniących wiecznie ust. Patrzyliśmy sobie w oczy. Drżałem ze szczęścia i czułem, że ona drży także.

Ola!

Czy to sen złoty i różowy, czy też włosy i usta?

Czy to delikatny puszek dojrzałych brzoskwiń i zapach świeżo rozkwitłych narcyzów, czy też jej twarz przy mojej i jej oddech, który wchłaniam, całując rozkochane oczy?

— Ola, Ola — to ty?

Tak, to ona: przyszła, bo nareszcie podobałem się jej: byłem silny, brutalny, „dziki człowiek”... Śmiejemy się.

— Wina, jeszcze wina.

Grigorij, głupi jak pień Grigorij, przynosi nowe butelki i idzie precz do pokoju obok, w którym sypia. Nic nie rozumie i uśmiecha się idiotycznie.

Ratunku, jak ona całuje! Zdaje się, że wypije w tym pocałunku duszę, że wessie w siebie moje życie.

To powolne pochylenie głowy, oczy wpatrzone w moje źrenice, to pociągnięcie ust po ustach... można oszaleć! ta coraz dziksza, namiętna pie-szczota warg.

Ola, Ola!

A jednak nie posunąłem się dalej: całowałem ją tylko. A właściwie ona mnie całowała.

W pewnej chwili odepchnęła mnie delikatnie; nasłuchuje.

— To nic; to Grigorij chrapie obok w pokoju.

Chcę zamknąć drzwi na klucz.

— Nie, nie, Zbych. Nie trzeba.

I nagle wstaje, zarzuca mi ręce na szyję:

— Poproszę o coś. Nie odmówisz mi, prawda?

Mogła mnie prosić wtedy o wszystko: dałbym jej, coby tylko chciała, zrobiłbym, czegoby tylko zażądała.

To nie było tak wiele: — kokainy.

— Kokainy?! — cofnąłem się, jak ukłuty bagnetem.

— Tak, kokainy. Nigdy tego nie używałam. Chcę, mam taki nastrój...

Proszę, ja bardzo proszę...

— Ale skąd teraz? I poco?... Czy ci tak źle, jak teraz? Czy...

— Ja tak bardzo proszę, Zbyszk... W Wańkowiczach jest lekarz...

Naturalnie, w Wańkowiczach, pięć kilometrów stąd, jest lekarz, porucznik Górzyński, stary przyjaciel... Wino i krew szumią w głowie. Wino i krew.

— Ja tu poczekam u ciebie: papcio pojechał do Wilna... Ten uśmiech! Ach, ten uśmiech...

— Jadę!

Pecyny pozlepianego błota lecą z pod kopyt końskich. Wiatr świszcząc mi w uszach, deszcz siecze odkrytą głowę i twarz. Przeczuwam raczej, niż widzę drogę w gęstych ciemnościach nocy. Pędzimy w mrok, mój koń, i ja, i wicher... ażeby spełnić kaprys kobiety.

Bo czyż to nie kaprys? — Ola nie jest kokainistką, wiem to z pewnością: nigdy w Wilnie, w czasie najszaleńszych hulanek, nie zażądała od nikogo z nas tego narkotyku.

Więc może poprostu wysłała mnie na godzinną przejażdżkę, aby uspokoić moje, a także i swoje zmysły? Może bała się sama siebie?

Ależ tak, ależ tak! Myślę o niej niemal z braterską czułością: napróżno obawiasz się, Olu. Kocham cię głębiej, niż sądzisz, i nie zrobiłbym ci krzywdy. Małeńka moja, śliczna pani, zaraz jutro poproszę pana Lipeckiego o twoją rękę. Kocham cię, kocham...

Ogarnia mnie ciepłe, dobre wzruszenie.

A teraz zadowolę twój kaprys: przywiozę kokainę, i wyrzucimy ją razem za okno, dobrze? I powiem ci, że możesz mi ufać. Będziesz się śmiała ze swoich obaw, jedyna...

Skręcam na szosę. Mija mnie jakaś rozstrzęsiona bryka wojskowa z żołnierzem na koźle.





— *Ola!*

— Kto jedzie?

— Porucznik Górzyński. A tam kto?

— Kuźnic. A to spotkanie! Jadę właśnie do ciebie.

Zatrzymujemy się na szosie. Zsiadam z konia, zostawiając cugle w rękach powożącego szeregowca. Górzyński jedzie do chorego: nagły wypadek; jakieś zatrucie czy coś w tym rodzaju. Niema ani chwili czasu... Ale co się ze mną stało: bez czapki i bez płaszcza? Sam jeden w taki psi czas, i po jakiego licha? Wymyśliłem naprędce jakąś niemożliwą historję, w którą nie uwierzył ani przez sekundę. O kokainie nawet słuchać nie chce. Oświadcza mi, że jestem smarkacz, i radzi wracać do kwatery.

Nie, stanowczo nie da kokainy; nie posiada jej wcale, a nawet gdyby miał, nie będzie dla mojej fantazji wracał cztery wiorsty po błocie do Wańkowicz. Przytem jedzie przecież do chorego. Wreszcie — wysła

mnie tym razem już nie na kwaterę, ale do wszystkich djabłów: do widzenia!

— Do widzenia.

Nie zależy już mi tak bardzo na kokainie, od chwili, w której uprzytomniłem sobie właściwe znaczenie tego kaprysu Oli.

Wracam. Za kilka minut znów będę z nią razem. Usta jej nie ostygły jeszcze zapewne od pocałunków...

Wjeżdżam stępą między zabudowania podwórza. Ciemno wszędzie, tylko z moich okien, zasłoniętych pomarańczową storą, sączy się przyćmione światło lampy.

Wymieniam hasło z posterunkiem, który zatrzymuje mnie u bramy, i oddaję konia inspekcyjnemu plutonu.

Cicho. Tylko deszcz szumi jednostajnym, sypkim pluskiem kropel.

Otwieram drzwi bez szmeru. Ciemna sień. Potykam się o próg i popycham niedomknięte drzwi od mego pokoju na prawo.

Co to jest?!

Czy oszalałem?... Boże, co to jest?!

— Ola!!!

Odwraca ku mnie głowę. Twarz jej płonie. Oczy płoną gniewem.

— Poco pan już wrócił?! — tupie nogą.

To rude, wstrętne bydlę, Grigorij, trzyma ją w swych cuchnących potem łapach.

— Przecież wysłałam pana — — poco pan wrócił?! Ręka sama chwytą rewolwer. Mierzę między ogłupiałe trwożą ślepią ordynansa. Naciskam spust. Suchy trzask i cisza...

Naboju nie było w lufie.

Repetuję wściekłym ruchem dłoni.

Już go niema. Tylko trzaskają drzwi, i dźwięczy wybita szyba...

Ola poprawia włosy przed mojem lustrem. Jedno zimne, ironiczne spojrzenie:

— Głupiec!

---





*Zwierzęta przed obiektywem aparatu*



# Znaki łóż polskich

⟨Ze zbiorów wolnomularskich Muzeum  
Narodowego w Warszawie⟩

Napisał

Stanisław Małachowski-Lempicki

Wolnomularstwo, opierając się na symbolach, nazywało je „językiem oka, językiem duszy, zewnętrznym rysunkiem wielkich, tajemnych prawd”.

Wolnomularstwo staro-angielskie zabraniało pod karą śmierci przedstawiać symbole zapomocą pióra, pendzla lub dłuta. Rytuały rękopiśmienne, lub drukowane, powstały dopiero w końcu wieku 18-go, i pełny tekst znajdował się tylko u mistrzów katedr i ceremonij, również w tym czasie dopiero zaczęto wykonywać przedmioty symboliczne, kobierce, fartuchy oraz przeróżne oznaki i klejnoty.

Przedmioty, pozostałe po łóżach polskich, należą do wielkich rzadkości. Tłumaczy się to tem, iż po kasacie wolnomularstwa w roku 1821, rząd zabrał je z łóż, poczem zaginęły, z wyjątkiem tłoków pieczęci, znajdujących się obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie. Przedmioty, pozostałe w mieszkaniach wolnomularzy, były zazwyczaj niszczone przez ich posiadaczy w czasie areztowań i śledztwa za sądu sejmowego 1828 roku. Podlegały one bowiem konfiskacie, a za przechowywanie ich groziła surowa kara. W Wilnie generał-gubernator Ryskij-Korsakow rozkazał niszczyć przedmioty wolnomularskie tak, „aby wspomnienia o niem nie zostało”. Już i przedtem po śmierci wolnomularza bracia łożowi, zgodnie z przepisami, odbierali od rodziny zmarłego oznaki zakonne i składali je do archiwum łoży.

Z czasem, gdy wolnomularstwo należało już do przeszłości, potomkowie znajdowali niekiedy pamiątki łożowe, ukryte przez ich przodków, lecz zazwyczaj, nie rozumiejąc ich znaczenia, niszczyli żółte rękopisy lub druki, zbutwiałe fartuszki i wstęgi, zardzewiałe cyrkle i węgielnice. Nic więc dziwnego, iż o wolnomularstwie wiemy tak mało.

Nieliczne dane, dotyczące historii wolnomularstwa, zawdzięczamy obecnie bullom pa-



*Znak łoży „Bracia Polacy Zjednoczeni” na  
wschodzie Warszawy. Łoża egzystowała od  
1807 do 1821 r. Nr. inw. M. N. 5601*

pieskim, ukazom carskim, wspomnieniom, przekazanych piśmiennie i ustnie młodszemu pokoleniu, oraz nielicznym resztkom archiwów łożowych. Resztki jednego takiego archiwum w Polsce znalazły się w sklepiku, i w pierwszorzędnej wagi dokumenty zawierano śledzie i kiełbasę. Naomiast znaczenie przedmiotów wolnomularskich z brązu, szkła lub jedwabiu, w nikłej ilości zachowanych cudem, jest dziś dla nas przeważnie niezrozumiałe, i nauka nasza, zarówno jak obca, nie daje co do tego żadnych wyjaśnień.

W literaturze rosyjskiej naprzykład istnieje dużo obszernych prac z historii wolnomularstwa, pomimo to redakcja dwutomowego dzieła *Wolnomularstwo w przeszłości i teraźniejszości* (1914), zawierającego szereg rozpraw pierwszorzędnych uczonych, w przedmowie do tomu drugiego oświadcza otwarcie, iż nie tłumaczy ilustracji, przedstawiających przedmioty wolnomularskie, gdyż: „nie czuje się w możności orjentowania się w nich dokładnie, wobec dzisiejszego stanu danych historycznych w tej dziedzinie. Sądzimy, iż czytelnikowi dla zrozumienia symboliki wolnomularskiej nie są potrzebne ściśle określenia, które dziś są jeszcze niemożliwe, lecz bogaty materiał ilustracyjny”.





*Znak loży „Kazimierz Wielki” na wschodzie Warszawy (od r. 1816 do 1821 r.) Nr. inw. M. N. 46655*

Ze względu na swą rzadkość i tajemniczość przedmioty wolnomularskie są bardzo poszukiwane przez zbieraczy.

Niezmiernie cenne i ciekawe są znaki łóż.

Każda poszczególna loża miała swój oddzielny znak, zatwierdzony przez *Kapitułę Najwyższą*. Członkowie danej loży nosili go na wstążce na piersi.

W Muzeum Narodowym w Warszawie w zbiorach wolnomularskich znajdują się znaki trzynastu łóż polskich.



*Znak loży „Doskonałe Milczenie” na wschodzie Pułtusza (1819—1821). Nr. inw. M. N. 5605*

Zacznę od opisu znaków łóż warszawskich.

Jedną z bardziej znanych łóż stołecznych nosiła nazwę *Braci Polaków Zjednoczonych*. Lożę tę, założoną w r. 1807 przez legjonistów napoleońskich, cechowała cześć niemal bałwochwalcza dla Napoleona. Początkowo składała się wyłącznie z wojskowych. Członkiem honorowym tej loży w stopniu mistrza był książę Józef Poniatowski. W r. 1821 w jej spisach widzimy obok wojskowych, jak Stanisław Mielżyński, Antoni Połocki, Konstanty Czarotoryski, Jan Umiński, Jan Skrzynecki, także osoby cywilne: dziekana uniwersytetu warszawskiego, Feliksa Bentkowskiego, profesora tegoż uniwersytetu, Józefa Minasowicza, literata Brunona Kiciń-



*Znak loży „Doskonałe Zjednoczenie” na wschodzie Włocławka (istniała w ciągu kilku lat przed r. 1821). Nr. inw. M. N. 47604*

skiego, ministra sprawiedliwości, Franciszka Węgleńskiego, kompozytora Jana Stefaniego, senatora Wincentego Grzymałę i innych.

Pracowała w pałacu Działyńskich na Lesznie (Leszno Nr. 16, Mylna Nr. 9).

Znak jej przedstawiał krzyż z brązu z ramionami, pokrytymi czarną emalją; w środku krzyża znak Salomona, otoczony wiankiem. Na ramionach krzyża napisy: *Siła, Jedność, Stałość*; pomiędzy ramionami cyrkle z brązu złoconego; nad krzyżem w kształcie korony węży z brązu złoconego, młotek, węgelnica, kielnia i pion. Na stronie odwrotnej w środku krzyża, w wianku na tle emalii niebieskiej, dwie ręce, złączone w uścisku; na ramionach litery: *B. P. Z.*



Znak łoży „Orzeł Biały Przywrócony” na wschodzie Siedlec (1815–1921). Nr. inw. M. N. 5602

Znak ten noszono na popielatej wstążce z lewej strony piersi. Kolor popielaty oznaczał „kolor zwierzchniej sukni, w której pierwszy raz ukazał się na ziemi polskiej w r. 1806 Wielki Napoleon, Oswobodziciel Narodu”. Znak noszono na sercu w dowód „wdzięczności za odzyskanie bytu politycznego Narodu Pańskiego”.

Każdy symbol, umieszczony na znaku łożowym, miał swe właściwe znaczenie. Rytuał określa cyrkiel, jak następuje: „Rzemieślnicy, lub prości robotnicy, wysługują się cyrklem do wymierzania wszelkiej swej roboty; my zaś, Wolni Mularze, używamy



Znak łoży „Świątynia Równości” na wschodzie Lublina (istniała w ciągu kilku lat przed r. 1821). Nr. inw. M. N. 21872



Znak łoży „Wschodzące Słońce” na wschodzie Łomży (1812 — 1821). Nr. inw. M. N. 5697

cyrkla prawdy dla nagrodzenia i przystosowania uczynków naszych do siedmiu obowiązków głównych”.

Młotek służy do ociosania kamienia dzikiego, oznacza też sumienie, iskrę boskości, tlejącą w człowieku, pogrążonym w grzechu. Węgielnica przedstawia gorliwość i wierność dla ustaw wolnomularskich, a zarazem cnotę; jest symbolem prawa i sumienia. Kielnia służy do zakrywania i równania błędów braci i wstrzymuje od popędliwości przy sądzeniu tych błędów. Pion oznacza równość braci, „gdyż Mularze winni mieć jedno prawo i jeden stopień, bez żadnych różnic, po-



Znak łoży „Przesąd Zwyciężony” na wschodzie Krakowa (otwarta w r. 1786). Nr. inw. M. N. 5604





Znak loży „Sześcián Uwieńczony” na wschodzie Gniezna (otwarta w r. 1804). Nr. inw. M. N. 47607

nieważ niema nic wyższego nad dobre uczynki”.

Przechodzę do loży warszawskiej *Kazimierz Wielki*, założonej w r. 1816. Rej w niej wodzili: radca stanu, Ludwik Plater, kasztelan Stanisław Małachowski i Józef Krasiński. Mówcą w tej loży był znany wierszopis, Kantorbery Tymowski, a członkami: Adam Czartoryski i generał Józef Dwernicki.

Znak przedstawiał krzyż z brązu złoczonego z czterema płomieniami; w środku koło z emalii niebieskiej, w niem gwiazda Salomona i litery: *K. W.* Znak wisi na wstążce białej z brzegami amarantowemi.

W Pułtusk loża nosiła nazwę *Doskonałe Milczenie* i miała bardzo ładnie wykonany znak w kształcie krzyża maltańskiego z emalii białej z brzegami z brązu złoczonego. W środku krzyża koło z emalii niebieskiej, a w niem ręce z brązu, złożone w uścisku, i napis „*Sinceritas*”. Na stronie odwrotnej: *J(ana) D. M. na wsch(odzie) Pułt(uska)* i data: 21.XII. 5819 (1819). Wstęga biała, jedwabna.

Loża włocławska *Doskonałe Zjednoczenie* miała jako znak gwiazdę pięcioramienną z promieniami; w środku na srebrnym tle dwie ręce, złożone w uścisku, otoczone wężem, zwiniętym w koło i trzymającym ogon swój w paszczy. Na stronie odwrotnej srebrny trójkąt z napisem: *Włocławek*.

Wąż zwinięty oznaczał nieskończoność.

Znak loży siedleckiej *Orzeł Biały Przywrócony*, założonej w r. 1815, składał się

z krzyża, pokrytego emalją czerwoną z brzegami złoczonemi i z czterema płomieniami; w środku wąż, zwinięty w koło i trzymający ogon swój w paszczy, a w nim srebrny Orzeł Polski. Na stronie odwrotnej napis: *Łoża Biały Orzeł przywrócony p. wsc. Siedlec*.

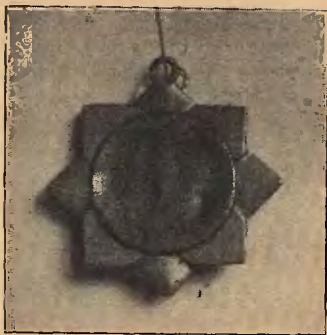
Loża łomżyńska *Wschodzące Słońce*, założona w styczniu 1812 r., zależała od kapituły płockiej *Szczere Połączenie*. W r. 1820 zarządzał tą lożą prezes miejscowego Trybunału, Wiktor Rembieleński, a pomocnikiem jego był Ignacy Kisielnicki, marszałek powiatu łomżyńskiego. Loża składała się z wyższych urzędników, zamieszkających w Łomży, i okolicznych ziemian.

Znak loży przedstawiał gwiazdę siedmioramienną z brązu złoczonego z płomieniami; w kole z emalii białej czarny napis: *Łoża S. Jana Wschodzącego Słońca*. Na stronie odwrotnej w kole emaljowanym góry i słońce wschodzące.

Lubelska loża *Świątynia Równości* jako znak miała srebrny krzyż maltański; w środku złożony trójkąt, a w nim krążek złoczonego z literami czarnymi: *S. R.* Na stronie odwrotnej w środku krzyża koło, a w niem wypukła czaszka z pieszczelami. Uszko w kształcie kuli ziemskiej, otoczonej wężem zwiniętym w koło i trzymającym ogon swój w paszczy.



Znak loży „Dobry Pasterz” na wschodzie Wilna (1816—1821). Nr. inw. M. N. 2326



Znak łoży „Węzeł Jedności” na wschodzie Nowogródka (1817—1821). Nr. inw. M. N. 23854

Trójkąt, zwrócony wierzchołkiem do góry, oznacza pierwiastek dobra.

Znak łoży krakowskiej *Przesąd Zwyciężony*, założonej w r. 1786, składał się z gwiazdy pięcioramiennej z płomieniami; w środku koło z białej emalii, a w niem otoczone ornamentem litery czarne: *P. Z.*

Gnieźnieńska łoża *Sześcian Uwieńczony*, założona w r. 1804, posiadała jako znak krzyż z bronzu złożonego z czterema płomieniami; w środku na tle czarnem — sze-



Znak łoży „Ciemności Rozproszone” na wschodzie Żytomierza (1787—1821) Nr. inw. M. N. 44431

ścian biały, spowity wieńcem róż; uszko u góry krzyża w kształcie wianka.

Kamień ciosany — sześcian — oznacza brata w stopniu drugim — czeladnika — który posiadał już pewną wiedzę w szkole łożowej, oznacza też świetność społeczności.

Łoża wileńska *Dobry Pasterz*, otworzona w r. 1816 staraniem braci Norwida, Chodźki, prałata Dłuskiego i in., miała wśród członków profesorów uniwersytetu Gotfryda Ernesta Groddecka i Jana Rustema (znanego malarza).

Znak jej przedstawiał krzyż z bronzu złożonego z czterema płomieniami; w środku wieńiec wawrzynowy, a w nim dwie pochodnie gorejące, złożone nakrzyż; u góry korona; na ramionach krzyża napis: *łoża G(uter) H(iet) O(rient) W(ilno).*

W Nowogródku w r. 1817 otworzona została łoża *Węzeł Jedności*. Znak jej składał się z gwiazdy ośmioramiennej; w środku napis: *R(oku) P(rawdziwego) Ś(wiatła) 5816 (1816) M. 7 d. 27 (27 września) Węzeł Jedności.*

Łoża żytomierska *Ciemności Rozproszone* założona została w r. 1787 przez łożę prowincjonalną *Doskonałą Tajemnicę* na wschodzie Dubna. Po upadku Rzeczypospolitej za-



Znak łoży „Orzeł Biały” na wschodzie Petersburga (1818—1821). Nr. inw. M. N. 42534



leżała od petersburskiej wielkiej loży *Astrei* i pracowała w językach polskim i francuskim. W r. 1821 mistrzem katedry był Franciszek Heincz, doktor medycyny.

Jako znak loża ta miała krzyż z czterema cyrkłami pomiędzy ramionami; w środku wieniec wawrzynowy z emalii zielonej, a w nim gwiazda Salomona; na ramionach napis: *łoża C(iemności) R(ozproszone) W(schód) Ż(ytomierza)*. Nad krzyżem korona, utworzona ze sznura z węzłami; w niej młotek i węgelnica.

Przechodzę do ostatniego znaku ze zbiorów Muzeum Narodowego — loży *Orzeł Biały* na wschodzie Petersburga. Loża ta powstała w r. 1818 i znajdowała się w zależności od wielkiej loży *Astrei*. Mistrzem katedry w r. 1821 był profesor petersburskiej Akademii sztuk pięknych, artysta-malarz Józef Oleszkiewicz.

Znak: Trójkąt z bronzu złotanego, w środku Orzeł Polski z białej emalii, przepasany wstęgą niebieską; orla otacza wieniec wawrzynowy z emalii zielonej, związany na

dole wstążeczkami czerwonymi; u góry korona z bronzu złotanego. Na trójkącie napis: *Pro Rege, Lege et Fratribus*. Na odwrotnej stronie: *24 dnia IV Miesiąca 5818 r. P. S. (24 czerwca 1818 r. prawdziwego światła) Orzeł Biały WS(chód) Peters(burga)*.

Wszystkie opisane znaki, oprócz ostatniego, należały do łóż symbolicznych, tj. pracujących w trzech pierwszych stopniach: ucznia, czeladnika i mistrza. Loża *Orzeł Biały* na wschodzie Petersburga była szkocka, tj. miała stopień czwarty — kawalera wybranego.

Posiadam dane o istnieniu przed r. 1821 dwustu czterech łóż polskich. Ustalonych znaków łóżowych mamy zaś najwyżej kilkadziesiąt, choć każda loża, powtarzam, musiała mieć swój znak.

Oprócz znaku każda loża miała swą pieczęć lakową, z innemi, niż na znaku, symbolami i odmienną znów pieczęć tuszową.

Fot. Józefa Greina, konserwatora Muzeum Wojska.



**CZEKOLADA DESEROWA  
WEDLA**

NIEPORÓWNANA W SMAKU



*Nowy kostjum kąpielowy na plaży Deauville*

*fol. Londyński*



# Rozwój handlowego lotnictwa włoskiego

Pierwsza linja lotnicza włoska istnieje od kwietnia 1926 r. Italia pozostała więc nieco w tyle w zawodach światowych rozwoju lotnictwa handlowego. Spóźnienie to jednak nadrobiono obecnie z zyskiem. Dzisiaj Italia zajmuje trzecie miejsce w Europie w rozwoju cywilnych linii lotniczych.

Szybkemu rozwojowi lotnictwa cywilnego w Italji stoją na przeszkodzie — przede wszystkim specjalne warunki geo- i orograficzne półwyspu.

Linje lotnicze włoskie, mające połączyć stolicę z wielkimi centrami włoskimi oraz Italję półn. ze stolicami zagranicznymi, winny w każdym wypadku przejść ponad Apeninami i Alpami, których przelot utrudniają wiatry i mgły, zmuszające do wznoszenia się na znaczną wysokość.

Pomimo jednak tych trudności początkowych, które pokonywane są dzięki udoskonalaniu maszyn, personelu oraz urządzeń technicznych, znajdujących się w Italji w stadjum ciągłego rozwoju, sieć lotnicza włoska podniosła się z 3.844 km. w r. 1926

i 4.694 km. w r. 1927 do około 6.000 km. w pierwszym półroczu roku bieżącego. Ilość linii lotniczych podwoiła się, a ilość Towarzystw lotniczych osiągnęła cyfrę sześciu.

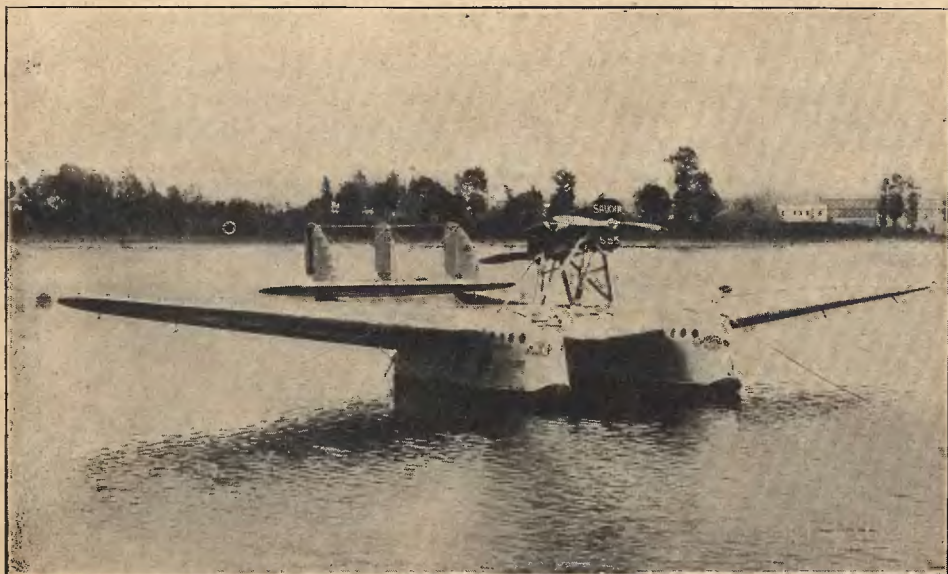
Sieć lotnicza włoska składa się obecnie z następujących linii:

1) linja Genua—Rzym—Palermo, długości 1070 km.; obsługiwana przez wodnopłatowce Dornier Wal, dwu- i czteromotorowe, zbudowane w Italji, w Marina di Pisa, eksploatowana przez Towarzystwo „Società Anonima di Navigazione aerea”, z siedzibą w Genui;

2) linja Triest—Turyn, długości 575 km., obsługiwana przez trójsilnikowe wodnopłatowce „Cant. 22”, zbudowane w Italji, w Monfalcone, eksploatowana przez „Società Italiana Servizi Aerei”, z siedzibą w Trieście-Portorose;

3) linja Triest—Zara, długości 252 km., obsługiwana przez aparaty „Cant. 22” i zarządzana przez Towarzystwo „S. I. S. A.”;

4) linja Rzym—Wenecja—Wiedeń, długości 1030 km., obsługiwana przez trójsilnikowe



*Hydroplan Savoia Marchetti „S. 55”, obsługujący linję lotn. Rzym — Cagliari*

we Junkersy, zarządzana przez Towarzystwo „Transadriatica”, z siedzibą w Wenecji;

5) linja Brindisi—Ateny—Konstantynopol, długości 1437 km., obsługiwana przez aparaty Dornier Wal, dwusilnikowe, zarządzana przez Tow. „Aero Espresso Italiana”, z siedzibą w Rzymie;

6) linja Ostia—Terranova—Cagliari, długości 510 km., otwarta d. 21 kwietnia r. b., obsługiwana przez dwusilnikowe wodnopłatowce „S. 55”, zbudowane w Italji, w Sesto Calende, w zakładach „Società Idrovolanti Alta Italia”, zarządzana przez Tow. „Aerea Mediterranea”, z siedzibą w Rzymie;

7) linja Brindisi—Valona, długości 130 km., otwarta d. 21 kwietnia r. b., obsługiwana przez wodnopłatowce „S. 62”, administrowana przez to samo Towarzystwo, co linja Ostia—Cagliari;

8) linja Tirana—Scutari (Albanja), długości 95 km.;

9) linja Tirana—Koritza (Albanja), długości 125 km.;

10) linja Tirana—Valona (Albanja), długości 100 km. (te trzy linje albańskie są obsługiwane przez Junkersy i administrowane przez Tow. „Aerea Mediterranea”);

11) linja Medjolan—Trydent—Monachjum, długości 460 km., została otwarta dla ruchu pasażerskiego d. 1 lipca r. b., i kursują na niej aparaty Fokker trójsilnikowe; jest zarządzana przez nowe Towarzystwo „Avio-linee Italiane”, z siedzibą w Rzymie.

Wszystkie te linje, z wyjątkiem szlaków Brindisi—Konstantynopol, Ostia—Cagliari, Brindisi—Valona i linij albańskich, są czynne codziennie w obie strony.

W związku z rozwojem sieci lotniczej

zwiększa się również ruch pasażerski i towarowy.

Następujące zestawienie ilustruje postęp, uczyniony w tej dziedzinie w Italji: przewieziono osób: w r. 1926 — 4.000, w r. 1927 — 9.757; bagaży i towarów: w r. 1926 — 40.907 kg., w r. 1927 — 139.820 kg.; przebyto kilometrów: w r. 1926 — 523.122, w r. 1927 — 1.327.656; wypadków z pasażerami lub przesyłkami w tym okresie nie było.

W pierwszym półroczu 1928 r. mamy następujące liczby: 5.500 pasażerów, 100.000 kg. bagażu i towarów, 5.000 kg. poczty, 835.170 km. przebytych w powietrzu. Ani jednego wypadku z przesyłkami lub pasażerami, przy zupełnej regularności lotów.

Poza linjami już uruchomionymi znajdują się w stadjum organizacji i będą wkrótce otwarte jeszcze nowe linje: z Medjolanu do Rzymu, z Triestu do Wenecji, Pawji i Genui, z Genui do Barcelony, z Rzymu do Barcelony, oraz linje: Rzym—Trypolis i Rzym—Bengasi.

Równoległe z rozwojem linij komunikacyjnych biegnie, naturalnie, rozbudowa lotnisk. W Rzymie został otwarty w kwietniu r. b. jeden z najobszerniejszych i najnowocześniejszych urządzonych portów lotniczych świata; mogą tam lądować aparaty lądowe i wodne. W Medjolanie znajduje się w budowie podobny port lotniczy, w którym będzie urządzone sztuczne jezioro dla wodnopłatowców.

Rząd włoski okazuje wiele dbałości dla sprawy rozwoju lotnictwa cywilnego i w początkowym okresie subwencjonuje koncesjonowane towarzystwa żeglugi powietrznej tak, jak się to dzieje w Polsce, Niemczech, Francji i Anglji. Obecnie państwo włoskie wydaje około 50 milionów lir rocznie na cele lotnictwa cywilnego.





*Mary Brian z Paramount'u, jako primabalerina*



Napisał

Fritz Barr

Ilustrował M. Walentynowicz

Rys nieopisanego wprost cierpienia leżał wkrąg fioletowo-błękitnych warg pana Paphosa, a łzawiące oczy spoglądały boleśnie z pośród skrzelowatych obwódek w twarzy o barwie dojrzałej śliwy. O tem, że kolorowość owa jest cechą szczególną jego oblicza, nie pomyślałby może nigdy, gdyby nie zwróciła na nią uwagi w sposób bynajmniej niedwuznaczny kobieta, którą był poślubił. Pani ta w dążeniu swem do zmiany więzów małżeńskich na życie nieskrępowane posunęła się tak daleko, iż nazwała go flegmatycznym kretem, przez co osiągnęła swój cel.

Pan Paphos pędził tedy życie odludne i melancholijne w towarzystwie swej spacerowej laseczki i garniturów w kratkę. Solidne, odziedziczone po przodkach, konto bankowe w żadnym nie stało stosunku do skromnego trybu życia i usposobienia, zdradzającego wszelkie cechy podupadłości, której daremnie starał się przeciwdziałać przez długotrwałe przesiadywanie w barze Carlssona.

W domu bywał rzadko i poto jedynie, by malować blade kobiety o morskich oczach

i włosach koloru henny i zamieniać przy pracy parę uwag o pogodzie z panią Olsen, utrzymującą jego pracownię i mieszkanie w niezbyt wzorowym porządku. Pani Olsen nie odznaczała się zbytnią gadatliwością, była jedyną na świecie istotą rodzaju żeńskiego, wobec której nie odczuwał nieprzewidywanego lęku. Nie czyniła bowiem żadnych uwag co do jego powierzchowności i nie traciła równowagi ducha, skoro postawił trzewiki na stole, a kapelusz rzucił pod drzwi. Nic zresztą nie mogło wyprowadzić pani Olsen z błęgiego spokoju, póki pieniędzy, udzielonych przez pana na cele gospodarstwa, starczyło jej na kupno koniaku i pokrywanie innych osobistych a nieprzewidywanych wydatków.

Przeważnie jednak przesiadywał pan Paphos w barze Carlssona. Milczący mały człowieczek miał tam swe stałe miejsce, z którego z poza popstrzonej przez muchy firanki widział część ulicy i drzwi przeciwległego domu. Z drzwi owych nigdy prawie nie spuszczał oczu, zdawało mu się bowiem, iż bladolicy kawalerowie w cylindrach wypro-



wadzili stamtąd kobietę o morskich oczach i włosach ubarwionych henną. Albowiem tam mieszkała ta, która nazwała go kretem. Próbując różnorodnej zawartości lśniących butelek Carlssona, nie przerywał wyteżonej swej obserwacji. Nie odwracając oczu od drzwi owych, opróżniał raz po raz automatycznie szklankę, którą w tenże sam sposób napełniał czuwający nad nim Carlsson. I tylko gdy ona ukazywała się, wychodziły z orbit jego źrenice i siedział cicho, jakgdyby wobec nadnaturalnej jakiejś zjawy.

Jednego przecież wieczoru, gdy wychyliwszy parę baterij butelek Carlssona, wyszedł na ulicę, zaszło coś szczególnego. Przechodząc mimo wielkiego, jasno oświetlonego okna, ujrzał w niem parę kobiet w przepysznych toaletach, siedzących wkrąg małego złoconego stolika. A między nimi była ona. Gdyż jej, tylko jej było to mleczne, białe ramię, spoczywające na blacie marmurowym; jej były te palce z różowymi paznogciami, które podparła głowę.

Pan Paphos oparł się o słup latarniany i patrzył skroś mgłę alkoholu Carlssona, oczarowany przez tę zachwycającą istotę, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje naokół. Jej usta jaskrawo-czerwone pło-nęły wśród twarzy o cerze tak świeżej

i chłodnej, jak Cocktail Mountand; a oczy o zieleni chartreuse lśniły pod brwiami barwy grenadinowej. Była to ona i nie ona, albowiem na czerwonych jej wargach igrał cichy uśmiech anielski, pełen dobrotliwej słodyczy, którego nie dostrzegał u niej nigdy. Dopiero gdy zgaszono jarzące się światło, ocknął się z zaczarowania. I powlókł się do domu.

Powoli obchodził pracownię, wyszukując wszystkie szkice i portrety, na których widniały kobiety o morskich oczach i włosach koloru henny. A znalazłszy — uderzeniem nogi wytrącał je z ram.

Długo śnił tej nocy pan Paphos o kobiecie z morskimi oczami, uśmiechającej się doń anielsko — i było już bardzo późno, gdy wstał i udał się znowu do baru Carlssona. Podpierając się małą laseczką, rozpamiętywał sen swój cudowny, z oczami utkwionemi w asfalt chodnika. A przechodząc obok miejsca swej wizji wczorajszej, spojrział w okno wystawowe sklepu, który otworzony został przed dwoma miesiącami. Pan Paphos przystąpił bliżej do szyby lustrzanej i wpatrywał się ostro w panie, siedzące wkrąg złoconego stolika. Pokiwał ironicznie głową nad dużą, ciemną damą z główką à la garçonne i twarz jego pełna była bezwzględ-



nej pogardy, gdy spojrział na małą jasnowłosą kobietkę o nóżkach drewnianych, przybrała natomiast wyraz miłosnego uwielbienia, gdy wzrok jego padł na piękność o morskich oczach. Pozwolił oczom przesuwac się po członkach smukłych i strzelistych. Miała malutkie nóżki, jasno-szare buciki skórzane, bajeczną wprost toaletę, odsłaniającą ręce i ramiona, a na to wszystko twarzyczka zachwycająca zlewała blask anielskiego uśmiechu.

Zebrała się wkrótce gromadka gapiów, których zaciekawienie bardziej wzbudzał pan Paphos, niżli wystawione w oknie manekiny. Gdy zauważył to — odszedł. Wrócił jednak natychmiast i zapadł znowu w zachwycone swe zapatrzenie. Parę długich godzin minęło, zanim uczuł pan Paphos palące pragnienie, rozdzierające mu łono. Niezliczoną ilość razy zdążył spojrzeć już Carlsson na tarczę ściennego zegara, zatroskany zdumiewającą niepunktualnością pana Paphosa, gdy tenże wtoczył się do lokalu i zajął zwykłe swe miejsce. Nie w tem spóźnieniu się jedynie miała źródło swe troska Carlssona: prócz tego bowiem zaszło coś, czego dotychczas nie notował on w swej pamięci.

Oto mały milczący człowieczek siedział ze wzrokiem utkwionym w szklanke, ani razu nie obróciwszy głowy ku drzwiom.

Oczy pana Paphosa zawisły na szklance, podobne oczom indyjskiego mędrca, wpatrującego się we własny swój pępek. A gdy wypił, zamykały się nad niemi skrzelowate powieki i twarz jego była tajemnicza i mroczna, jak u człowieka, który trudzi się nad rozwiązaniem zagadki Sfinksa.

Pan Paphos myślał tak intensywnie, że głowa jego pękała nieomal i opróżniała butelkę Carlssona z szybkością zaprawdę wściekłą, tak że twarz jego przybrała barwę czerwoną, tak że wystąpiły na

niej jednocześnie plamy białe — podobną się stała do przekrojonej kiełbasy.

Przed zamknięciem sklepów jednakże decyzja została powzięta. Z głową dumnie wzniesioną, urósłszy do wielkości niemal nadnaturalnej, opuścił lokal, odprowadzony zdumionym i zatroskanym wzrokiem Carlssona.

Najbliższe dni przepędził pan Paphos w odurzeniu zawrotnego wprost szczęścia. Albowiem przedmiot najtkliwszych uczuć jego serca znajdował się u niego w pracowni.

Po wielu słowach żarliwych przekonywań kupił go za cenę niebywale wysoką. Całymi dniami zajęty był nadawaniem mu pozycyj malowniczych i zużył nieprawdopodobnie wprost ilości zieleni szmaragdowej, czerwieni i bieli cynkowej, by go uwiecznić na płótnie.

Pani Olsen potrząsała głową; Carlsson oczekiwał daremnie; a barwy twarzy pana Paphosa bladły z dnia na dzień.

Znów podniósł znaczną kwotę ze swego banku. Odwiedził najdroższe sklepy jubilerskie, kupując ozdoby brylantowe, które przytwierdzał następnie do włosów, barwionych henną. Przepyszne sznury pereł zawieszał na szyi, mającej białość marmuru, i bogini jego posiadała tuziny bransolet. Z wielkich magazynów mód przychodziły młode panie, iżby przystrajać ją w zachwycającą bieliznę i suknie najdroższe, podług ostatniej uszyte mody i pachnące perfumą najrzadszą.

Wieczorem kładł ją na sofie i okrywał pokrowcami, a nim zgasił światło, pochylał się nad nią, całując w usta, czerwone jak wino.

— Najdroższa moja, ty nigdy, ach, nigdy nie nazwiesz mnie kretem — szeptał, a ona uśmiechała się doń, milcząc, z anielską słodyczą.

I był szczęśliwy.

Tłum. Hanna Kraśniańska.





D. D. PALMER

B. J. PALMER, D. C., Ph. C.

# Co to jest kręgarstwo?

Napisał:

Dr. Olgierd Krukowski

Już w pierwszej połowie ubiegłego wieku w Szwecji i Anglii zwrócono uwagę na to, że przy rozmaitych cierpieniach organizmu ludzkiego występuje wrażliwość w plecach, a mianowicie albo w samym kręgosłupie, albo bezpośrednio w jego okolicy. Na tej dziwnej łączności starano się więc oprzeć leczenie niektórych chorób.

Jednakże początkowo stosowanie rozmaitych zabiegów, związanych bezpośrednio z kręgosłupem dla usuwania pewnych cierpień, miało charakter czysto objawowy i było oparte jedynie na skargach chorego oraz na praktycznej umiejętności „lekarza”. Tak, w tym czasie cieszył się szczególną sławą pewien Jan Wejooda, który pod przezwiskiem „D-ra Naprawita” stosował tego rodzaju leczenie w Czechach.

Wraz z emigracją pojęcie o tem leczeniu przeszło do Ameryki, gdzie szybko znalazło uznanie u przedsiębiorczych mieszkańców Nowego Świata.

Jednakże dopiero koniec XIX wieku przyniósł decydujący zwrot pod tym względem.

Mianowicie dnia 25 września 1895 r., D. D. Palmer, znany osteopata, przy pomocy pewnych ucisków kręgosłupa przywrócił słuch u Lilliard’a Harweya, który go stracił rażąco przy dźwiganiu na swych plecach zbyt wielkiego ciężaru.

Od tej chwili D. D. Palmer poświęcił się całkowicie badaniom łączności, która zachodzi pomiędzy normalnym stanem kręgosłupa a zdrowiem człowieka, jak również pomiędzy odchyleniem oraz wrażliwością poszczególnych kręgów a rozmaitemi zaburzeniami w organizmie ludzkim.

Po śmierci D. D. Palmera syn jego prowadził dalej badania ojca.

W przeciągu szeregu lat pracy B. J. Palmer stworzył nową metodę leczniczą, którą jeden z jego uczniów, Weed z Cambridge, nazwał „Chiropraktyką”, biorąc z greckiego, jako działanie ręką.

W języku polskim dla określenia tej metody nadało się bardzo dobrze słowo „Kręgarstwo”, które wskazuje na kręgosłup, jako na miejsce pierwotnych zmian w chorym

organizmie ludzkim, a równocześnie jako na miejsce bezpośrednich zabiegów leczniczych.

Zasada kręgarstwa jest oparta na tem, że wszystkie poszczególne narządy organizmu ludzkiego znajdują się stale pod wpływem impulsów, dochodzących do nich przez nerwy rdzeniowe i mózgowe, które pozostają pomiędzy sobą w stałej łączności, przyczem nerwy rdzeniowe wychodzą z kanału rdzeniowego w kręgosłupie przez ruchome otwory, znajdujące się pomiędzy każdymi dwoma sąsiadującymi ze sobą kręgami.

A) Poszczególne kręgi łatwo pod wpływem rozmaitych czynników ulegają odchyleniom od właściwej pozycji.

B) Każde odchylenie kręgów od właściwej pozycji powoduje zmniejszenie przylegających otworów międzykręgowych i ucisk nerwów rdzeniowych, przechodzących przez te otwory.

C) Ucisk nerwów rdzeniowych wpływa ujemnie na przenoszenie przez nie impulsów od kory mózgowej do poszczególnych tkanek w organizmie ludzkim.

D) Wtedy powstaje zaburzenie w czynności poszczególnych tkanek i cierpienie (choroba) organizmu.

Przy stosowaniu zabiegów kręgarskich:

A) Usuwamy przyczynę cierpienia przez właściwe nastawienie odchylonych kręgów,

B) co zwalnia z ucisku nerwy rdzeniowe

C) oraz przywraca normalne przenoszenie impulsów od kory mózgowej do tkanek.

D) Powoduje następnie stopniowe znikanie cierpienia (wyzdrowienie organizmu).

Dlatego też, o ile tylko stwierdzimy odchylenie kręgów, to kręgarstwo może być zastosowane przy cierpieniach wszystkich narządów organizmu ludzkiego w najrozmaitszych chorobach, nawet wtedy, kiedy zmiany organiczne są już dość znacznie zaznaczone, ponieważ przypływ normalnych impulsów życiowych od kory mózgowej do chorego narządu w każdym poszczególnym wypadku może okazać tylko wpływ dodać na przebieg danej choroby.

Obecnie B. J. Palmer stoi na czele ogromnego zakładu naukowego w Dawenport Iowa U. S. A. Zakład ten posiada jedną z największych nadawczych stacyj radiowych w Stanach Zjednoczonych, i wykłada w nim cały szereg rozmaitych specjalistów. Kurs nauki trwa 5.247<sup>1</sup>/<sub>2</sub> godzin teorii i praktyki, które są wykładane w przeciągu trzech lat studjów.

Podobne zakłady naukowe znajdują się obecnie i w innych wielkich centrach U. S. A., i ilość osób, stosujących zawodowe kręgarstwo w Ameryce Północnej, jest obecnie bardzo znaczna.

W Europie kręgarstwo jako metoda lecznicza pojawiło się najpierw w Anglii w 1912 roku, kiedy powrócił do kraju jeden z uczniów Palmera, po ukończeniu jego szkoły.

Obecnie zawodowy związek „British Chiropractors Assotiation” liczy około 40 człon-

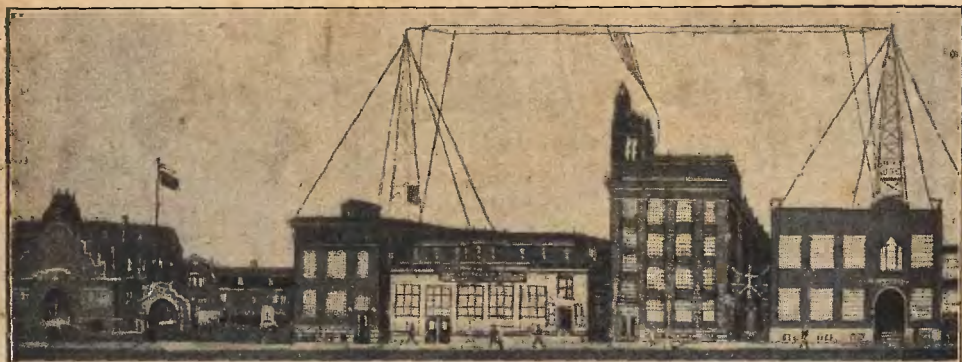


H. Ben Bol.



O. Krukowski





*Zakład naukowy kręgarstwa w Davenport*

ków dyplomowanych kręgarzy i lekarzy stosujących kręgarstwo. Prezesem związku jest H. Ben Bolt, pionier kręgarstwa w Szkocji, a sekretarzem związku jest dr. med. J. A. Blackburn.

Medycyna oficjalna początkowo zajęła stanowisko wręcz nieprzychylnie i starała się zdyskredytować kręgarstwo jako metodę leczniczą. Jednakże fakty przemawiały same, i to uznanie, które zdobyło sobie kręgarstwo wśród społeczeństwa angielskiego, znalazło jaskrawy i zdecydowany wyraz w nadaniu szlachectwa przez parlament angielski jednemu z wybitnych kręgarzy w Anglii, a mianowicie Herbertowi Barkerowi, oraz w przemówieniu, które wygłosił ówczesny minister zdrowia, lord Chamberlain na posiedzeniu izby gmin w lutym 1926 r., w obronie tych kręgarzy, którzy, nie będąc lekarzami, na mocy swych dyplomów ze szkół kręgarstwa w Ameryce, stosują to leczenie w Anglii.

Na kontynencie Europy kręgarstwo obecnie jest już znane prawie wszędzie.

W Polsce i w Rosji prymitywne leczenie chorych przez oddziaływanie na kręgosłup znane jest od bardzo dawna.

W każdej łaźni rosyjskiej stosują zwykle cały szereg zabiegów, bezpośrednio związanych z kręgosłupem, i osiągają w ten sposób ogólne orzeźwienie i wzmocnienie organizmu.

Na lewym wybrzeżu Wołgi i jeszcze dalej na wschodzie, kręgosłup w lecznictwie wiejskim odgrywa poważną rolę. Tak więc, przy dokuczliwym bólu głowy znachor wiejski uj-

muje silnie pęk włosów na czubku głowy siedzącego spokojnie pacjenta i gwałtownie skręca ją nabok aż do wywołania trzasku w szyi (chorego).

W wypadkach przeziębienia leczący, stojąc bezpośrednio poza plecami pacjenta, opłata go z przodu swemi ramionami (na wysokości ramion chorego) i, mocno przyciskając do siebie, potrząsa kilkakrotnie chorym, unosząc go równocześnie dogóry. Jeżeli pacjent jest dzieckiem albo małego wzrostu, to wtedy leczący spleta swe palce na czole chorego tak, że obejmuje mocno obu swemi dłońmi jego głowę i postępuje, jak zaznaczono powyżej.

Na Ukrainie babki wiejskie „mierzą” niemowlęta, wyciągając je naukos za kończyny, co ma wpływać dodatnio na ogólny rozwój organizmu i zwykle stosuje się u dzieci „marudzących”.

Na Białej Rusi (gub. Mohylowska, p. Mściśławski) w przypadku silnego bólu krzyża stosują następujące leczenie („utin”): chorego wieszają za nogi do góry tak, aby swobodnie zwisał, nie dostając głową do ziemi, a następnie silnie pociągają go kilkakrotnie za ramiona nadół, aż do wywołania trzasku w kręgosłupie.

U nas, w lubelszczyźnie, stosują tak zwane „dygowanie przez belkę”, które polega na tem, że znachor wiejski umieszcza chorego plecami do belki, umieszczonej poziomo w drzwiach chaty, albo też na odpowiednim stoliku, i dwóch ludzi przeciąga kilkakrotnie pacjenta plecami przez tę belkę, ciągnąc jednocześnie za ramiona i nogi

i nie żałując przytem ani swych sił, ani dobrych chęci.

W okolicy Płocka znane jest „nadeptywanie” po plecach chorego, który się kładzie na pierzynie, rozłożonej na ziemi. Zabieg ten powtarzają kilka razy w odstępach parudniowych.

Na Kujawach stosują bardzo często tak zwane „wytrząsanie”: chory stoi ze skrzyżowanymi na brzuchu obu dłońmi, które ujmują w kiściach druga osoba, stojąca bezpośrednio za pacjentem i mocno, kilkakrotnie potrząsa nim, przyciskając do siebie i równocześnie unosząc nieco do góry.

Te prymitywne zabiegi wskazują na to,

jak ważną rolę odgrywa kręgosłup w lecnictwie wiejskiem.

Obecnie kręgarstwo, oparte na szeregu badań, prowadzonych w zakładach naukowych i w ośrodkach kręgarskich, rozsianych po całym świecie, zdobywa coraz większe zastosowanie.

Kręgarstwo jako metoda lecznicza, według Laudyn-Chrzanowskiej, „obiecuje dobrodziejstwa nieznane ludzkości, jakimi już dziś darzy Amerykę, w sile zwłaszcza ekspansji życiowej i radosnej mocy życia i działania” — i dlatego wierzę w jej trwałe rozwój i coraz szersze zastosowanie.



Najlepsze  
gramofony  
i płyty  
**B. Rudzki**  
MARSZAŁKOWSKA  
MARSZAŁKOWSKA



# ROZRYWKI UMYSŁOWE

## IV TURNIEJ ZADANIOWY

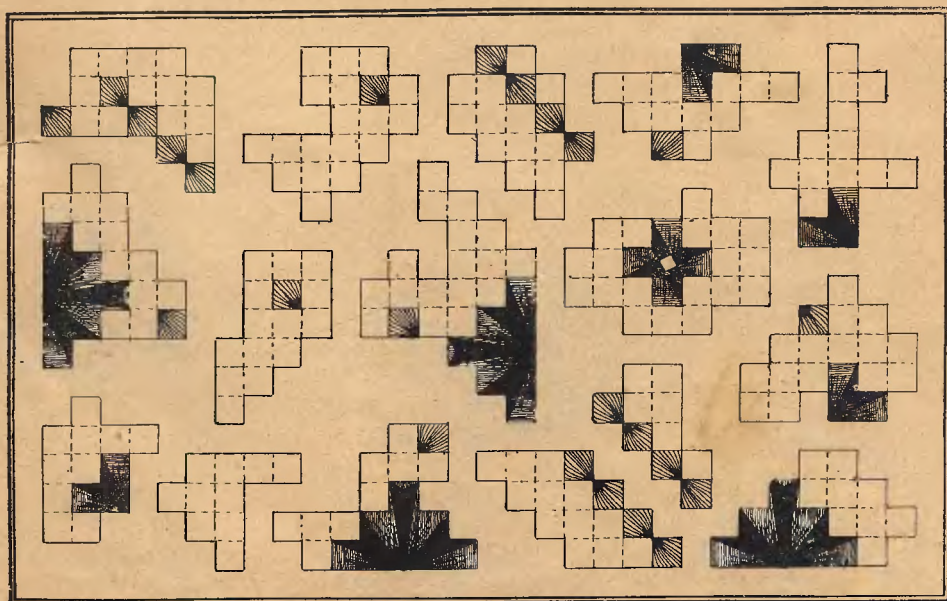
### 11. KRZYŻÓWKA-WYCINANKA Z PRZEKŁADANKĄ.

(Za rozwiązanie 5 punktów).

Z podanych niżej wycinków ułożyć symetryczną krzyżówkę, ponumerować zwykłym sposobem i rozwiązać; litery znajdujące się na każdym z czterech boków rozwiązanej krzyżówki, po przedstawieniu, utworzą cztery znane nazwiska polskich beletrystów.

*Znaczenie wyrazów poziomych:* 3. Szkodnik futer. 5. Miesiąc. 7. Utwór muzyczny. 9. Zwierzę domowe. 11. Wiosło małych łódek na Tamizie. 12. Staropolska zabawa zapustna. 14. Stara złota moneta japońska. 16. Rzeka we Francji. 17. Okrzyk lekce-

ważenia. 18. Osad. 20. Wróg drobiu. 22. Fierwiastek chemiczny. 23. Polski miesięcznik poetycki. 27. Roślina włóknista (2 przypadki). 29. Roślina o jadalnych korzonkach w Indjach. 30. Przetwórc mleczny. 31. Okres czasu. 32. Kwiat wiosenny. 34. Cyfra w języku francuskim (fon). 35. Legionista. 37. Taniec. 38. Tkanina jedwabna. 40. Bożek egipski. 41. Składnik powietrza (wstecz). 44. Fizycznie odmienny typ (wstecz). 47. Kamień dźwięczący w Chinach (wstecz). 48. Narząd odbierania wrażeń. 49. Wieś murzyńska. 50. Rzeka we Włoszech. 51. Grzybek, którego





ferment zamienia mleko na joghurt. 53. Dźwięk niemiły dla ucha. 54. Pseudonim poety polskiego. 56. Ptaki drapieżne. 58. Mit skandynawski. 60. Ballada Mickiewicza. 63. Wieś czerkieska. 64. Widziadła senne. 66. Część twarzy. 67. Bóżeł wiatru. 68. Część doby. 69. Zabawa karnawałowa. 71. Przyrząd czuły na temperaturę. 74. Astrolog u Medów. 75. Kres dążeń. 77. Wykrzyknik. 78. Posiada. 79. Nasyca czyjeś pragnienie. 80. Uspokaja (wstecz). 82. Ptak. 85. Zamek francuski. 86. Żywica drzew podzwrotnikowych. 88. Sto w odmianie. 90. Pole. 91. Królewicz z bajki staro-indyjskiej.

**Znaczenie wyrazów pionowych:** 1. Wieczność. 2. Dopływ Renu. 3. Skrócone imię męskie (wstecz). 4. Msza cicha czytana 5. Świątobliwy mędrzec żydowski. 6. Parów. 7. Południe w nazwach geograficznych. 8. W tym miejscu. 9. Przystawka o znaczeniu *podwójnie*. 10. Rzeka w Afryce. 11. Moneta skandynawska. 13. Rzeka we Francji. 15. „Tak” w narzeczu północno-francuskim. 16. Geograf polski. 17. Miara powierzchni. 19. Część ciała u zwierząt. 21. Wiązki zboża. 22. Pierwiastek chemiczny. 23. Uczucie. 24. Cel. 25. Powieść Zoli. 26. Luneta. 28. Jedna po łacinie. 30. Drobną monetą francuską. 33. Przyimek. 36. Trawnik. 39. Kwiat. 42. Owad. 43. Niedobry. 45. Sport górski. 46. Sztuka. 50. Budowla. 52. Drobną częsteczką. 53. Środek komunikacji rzecznej. 55. Wyspa w Archipelagu Hawajskim. 56. Bryła geometryczna. 57. Nuta (wstecz). 59. Niepewne określenie. 61. Część pasieki. 62. Asceta hinduski. 65. Moneta japońska. 67. Litera grecka. 70. Moneta rumuńska. 72. Rzeka we Francji. 73. Miasta powiatowe w Prusach. 74. Zamek francuski. 76. Pukiel włosów. 79. Powieść Kiplinga. 81. Pal. 83. Inicjały autora „Zaczarowanego Koła”. 84. Spółgłoska złożona (wstecz). 85. Mit słowiański. 87. Miasto w południowej Francji. 89. Religia chińska.

Cztery nazwiska beletrystów są to autorzy: 1) „Fermentów”, 2) „Pająków”, 3) „Białego murzyna” i 4) „Thalassy”.

Dla pewnego ułatwienia podajemy naszym Czytelnikom litery, które tworzą Krzyżówkę-wycinankę:

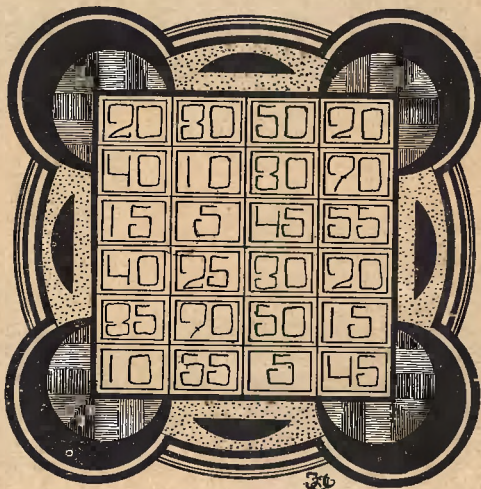
**Litery:** 29 A, 3 B, 2 C, 3 D, 17 E, 1 F,

3 G, 9 I, 2 J, 10 K, 14 L, 5 Ł, 10 M, 15 N, 21 O, 5 P, 15 R, 8 S, 10 T, 8 U, 5 Y, 5 Z.

Roman Kozłowski

## 12. ŁAMIGŁÓWKA CYFROWA.

(Za rozwiązanie 2 punkty)



Podany kwadrat podzielić na cztery równe części w ten sposób, aby sumy cyfr każdej części były równe sobie,

Jerzy H.

## 13. SZARADA LITEROWA.

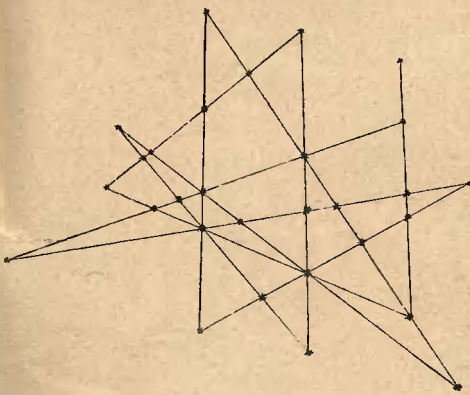
(Za rozwiązanie 1 punkt).

Miał *pierwszą* niegdyś hetman, lecz nie mieli  
[wodze;  
Na łapie będzie *druga*, ale nie na nodze;  
Zaś *trzecią, piątą, siódmą*, umieszczamy w kole.  
Zarówno jak w fotelu, komodzie i na stole;  
Choć *czwartą* kra posiada, nie mają jej lody,  
Szóstej pozbawion stary, ale ma ją młody;  
Ósmą posiada uśmiech, płacz mieć jej nie  
[może  
Dziewiątą mamy w wozie, zarówno jak i w  
[worze;  
Dziesiątą znajdziesz w Wilnie, Gnieźnie i  
[Lublinie;  
Nie w każdym saksofonie, lecz w każdej  
[mandolinie;  
Wieś niema *jedenastych*, lecz mają je wszak  
[miasta;  
Właściwość taką samą posiada i *trzynastą*;  
Dwunastej szukaj w astmie, choć nie jest  
[chorobą;  
A całość każdy miesiąc czytelnik ma przed sobą.  
Jawnuta.



14. MAGICZNY GWIAZDOZBIÓR.

(Za rozwiązanie 3 punkty)



Dwadzieścia dziewięć podanych niżej cyfr należy rozmieścić na dwudziestu dziewięciu gwiazdkach w ten sposób, aby sumy cyfr na wszystkich jedenastu liniach dały liczbę 30.

Cyfry: 1, 1, 1, 1, 1, 2, 2, 2, 2, 3, 3, 3, 3, 4, 4, 4, 4, 4, 5, 6, 6, 6, 6, 7, 7, 8, 8, 8, 8, 9, 9, 9.

Teodor Domicz.

15. FIGILEK CHIŃSKI.

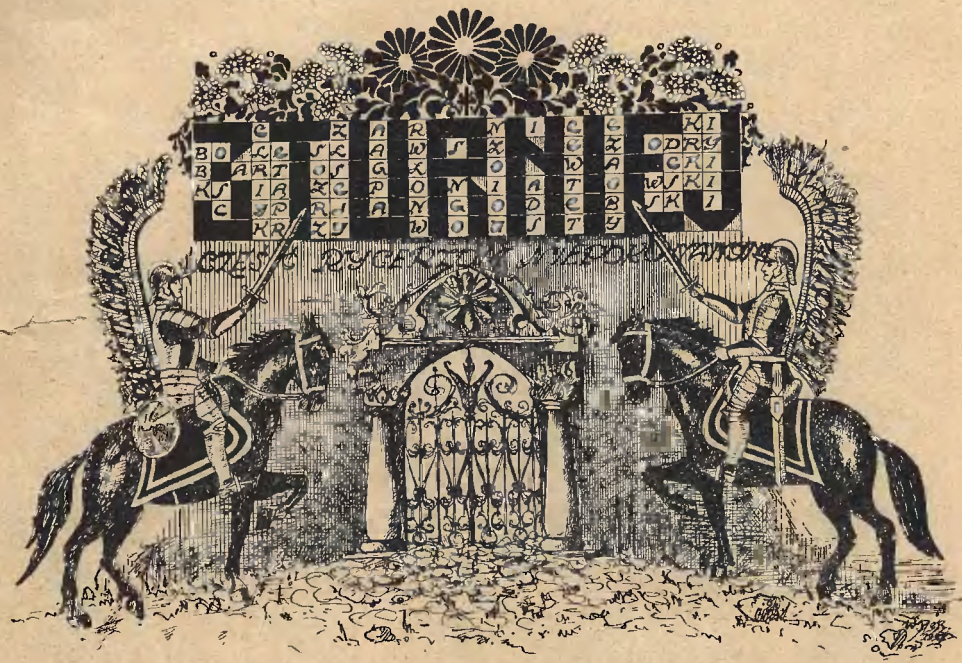
(Za rozwiązanie 1 punkt).

W jaki sposób do piętnastu dodać jedynkę, aby otrzymać czternaście?...

Pêle-Mêle.

Warunki uczes'niczenia w IV Turnieju Zadaniowym zostały ogłoszone w Nrze 47 „Naokoło Świata”; termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru oraz wszystkich zadań dotąd ogłoszonych, objętych IV Turniejem, dla tych, którzy dotąd udziału w konkursie wziąć nie zdążyli, upływa w terminie sześciu tygodni od daty otrzymania niniejszego zeszytu.

Najlepiej i najestetyczniej wykonane rozwiązania zadań rysunkowych zostaną nagrodzone i umieszczone na łamach działu.



Rozwiązanie „Historycznej mozaiki” z III Turnieju Zadaniowego wykonane przez p. Wiktora Pera z Wilna



# Z TEKI HU

Listy z podróży





# MORYSTY

do Zakopanego

Rys. Z. Berent





# Odpowiedzi grafologa

Osoby, życzące sobie mieć ocenę swego pisma, zechcą napisać — *nie przepisać!* — najmniej 3 str. atramentem, bez linii, podpisać pseudonimem (choć podpis jest ważny), załączając 5 zł. jako honorarium dla grafologa. Na odpowiedź listowną należy dołączyć 1 zł. na koszty. Redakcja „Naokoło Świata” prosi o nadsyłanie listów: Warszawa, ul. Wilcza 33, Z. Pruska, dla grafologa.

**P. Helena R.** Grafolog list otrzymał i bardzo dziękuje, zapewnia jednak, że tu, prawie jest pewny, że się nie pomylił. Daj Boże, aby sił i energii stało!

**P. M. M., Kielce.** Nr. 1 listu. Natura pogodna, zrównoważona, uczuciowa. Charakter szczery, nie mający nic do skrywania, lecz niewylany. Żywy i równy, nieskąpy, aczkolwiek nie jest obojętny na zyski. Woła i energia słabe. Nr. 2. Charakter bardzo nierówny i chwiejny, łatwo traci energję, ale szybko ją odzyskuje. Natura powściągliwa i pozytywna. Nieufna, ale towarzyska. Dużo intuicji i trafność sądu. Listy odesłane 24 lipca.

**Dal morza.** Charakter mocny, trzeźwy, szlachetny i szczodry. Zdrowy sąd. Natura żywa i niecierpliwa, czasem dobrze cierpka, lecz szczerza i o dużym rozmachu życiowym i ambicjach. Skryta i niedopuszczająca nikogo do swego „ja”.

**N. Brzeska.** Zdaje się, że uniwersyteckie studia więcej zainteresowały ścisły umysł Pani, niż ocena grafologa. To całkiem naturalne, wnosząc z jej pisma. W tej sprawie jedynie listownie mogę Panią poinformować szczegółowo, na co należy przysłać 10 zł. Koszta są bardzo małe i płatne ratami. A teraz ocena. Niezwykła równowaga tak umysłowa, jak duchowa. Systematyczność. Wielka umiejętność omijania przeszkód życiowych i dziwnego szarmonizowania siebie z otoczeniem. Natura powściągliwa. Duża inteligencja, umysł jasny, prostota.

**Szarotce** grafolog dziękuje za dobre słowo — i rad niezmiernie, że mógł się jej przysłużyć. Martwi Panią opinia grafologa. Upór, o którym Pani mówi, w obronie swego charakteru — to nie wytrwałość. Trzeba wybrać cel i wytrwale dążyć do niego, a w ten

sposób hartować wolę, której tak bardzo Pani brak. Wrodzone marzycielstwo dużo przeszkadza Pani w tem — a życie twarde jest i wymaga ustawicznej walki. Pani pyta, czy warto żyć i walczyć o lepsze ideały?! Ależ to właśnie nazywa się życiem! Urabianie swego charakteru, zabijanie w sobie złego, podnoszenie ducha na wyżyny doskonałości! Spełnianie dobrych uczynków, czystość sumienia — dają radość prawdziwą, godną, radość w Bogu. Niech Pani zajmie się czem poza biurem, jest tyle tematów, tyle pracy, tyle potrzeb — to Panią zajmie i wypełni życie, które dziś wydaje się Pani puste. Bo to tak: Pani ma duszę subtelną i czuje się między tłumem sama. To bardzo naturalne. Otóż praca — nie biurowa — ale praca nad kulturą ducha swojego i drugih — to dopiero daje zadowolenie. Pisze Pani, że ciężko i trudno być dobrą. Nie! To tak się tylko wydaje. Trzeba zacząć od małego i kontrolować siebie ciągle, w każdym słowie i czynie; nigdy nie żałować dobrego uczynku, który nie był tak przyjęty, jakbyśmy chcieli; nigdy nie tylko nie wymagać, lecz nie spodziewać się wdzięczności. Przeciwnie — mieć to przekonanie, że raczej ludzie źle zapłacą za dobre. Nic to! Robić swoje, iść naprzód z wiarą wielką i niezłomną, że żaden odruch, żadna myśl dobra nie pójdzie na marne. Jeśli nie da korzyści komuś, to bezwzględnie da ją Pani samej. A więc *sursum cordis*. Nie zniechęcać się. Życie jest tak krótkie i tyle jest do zrobienia ze sobą i z drugimi, że niewolno tracić czasu na mrzonki i biadania, iż w ludziach nie znajduje Pani tego, czego szuka. Dla pewnych dążeń — granic nie ma. Myśl ludzka wyrwa się do krainy wieczystych prawd i harmonji. Należy się wyrwać z umysłowego odrętwienia. Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga! A człowiek nie dla samego siebie żyje — jak pięknie powiada Cyceon. Subtelny i szlachetny charakter Pani podyktuje — jak i co czynić należy, a grafolog zawsze chętnie odpowie Szarotce.

**P. Jadwiga Perkowska.** List i znaczki otrzymane. Odpowiedź wysłę.





*Lekcja języków przy linguaphonie*

## Nauczanie języków przez gramofon

Nowością w Polsce jest zastosowanie gramofonu do nauczania języków. Za granicą system ten, pod nazwą metody Rostona, jest już stosowany od pewnego czasu i daje znakomite wyniki. Dotychczas istniały jedynie przygotowane kursy języków: angielskiego, irlandzkiego, francuskiego, hiszpańskiego, włoskiego, niemieckiego, rosyjskiego, holenderskiego, chińskiego, perskiego, esperanto, oraz t. zw. języka africaans. Obecnie opracowywany jest również kurs języka polskiego metodą Rostona. Metoda ta polega na słuchowym nauczaniu języków, przy pomocy gramofonu.

Względnie, do tego celu używany bywa nieco ulepszony system gramofonu, t. zw. Linguaphone, który posiada specjalne urządzenie, ułatwiające powtarzanie wyrazów. Linguaphone posiada prócz tego urządzenie słuchawkowe, zbliżone do słuchawek radiowych, umożliwiające słuchanie lekcji nawet w zgiełkliwym otoczeniu.

Do nauki języków użyty być może z dobrym skutkiem również zwykły gramofon.

Podstawowy kurs każdego z wymienionych języków składa się z 30 lekcji, umieszczonych na 15 płytach dwustronnych, a obejmujących około 2500 wyrazów. Każdy kurs, prócz 15 wymienionych płyt gramofonowych, zawiera książeczkę ilustrowaną wraz ze słowniczkiem (w kilku językach); lekcja odbywa się w ten sposób, że przy słuchaniu jej patrzy się jednocześnie na drukowany tekst i ilustracje. Odpowiednie rysunki zaopatrzone są w numerki i takimiż numerkami oznaczone są również odpowiadające im obrazy.

Linguaphone uczy zatem języków najracjonalniejszą metodą poglądową.

Prócz kursów podstawowych istnieją również specjalne kursy dla podróżujących (15 płyt francuskich i włoskich), kurs literatury angielskiej, francuskiej, włoskiej i niemieckiej, oraz życiorysy i recytacje dzieł.

Linguaphone posiada obecnie swe przedstawicielstwo w Warszawie, i praktyczna ta metoda nauczania języków powinna u nas również znaleźć szerokie zastosowanie.

*M.*

# „PUNKT-ROLLER”

## DO MASAŻU TWARZY



Silnie powiększony spłot naczyń tętniczych.

Spłot naczyń tętniczych pielęgnowanej twarzy.

Osoby otyłe muszą stale o tem pamiętać, by wzmacniać swe mięśnie twarzy i usuwać nadmiar tłuszczu z policzków i okolicy brody. Szczególnie u osób silnie rozwiniętych występuje już wczesnie podbródek oraz wytwarzają się t. zw. policzki zwisające, które powoli zniekształcają całą twarz, powodują zmarszczki, błądź i wiotkość cery. Zmarszczki te są znówu powodem słabości mięśni twarzy. Słabe umięśnienie jest przyczyną niedostatecznego krwioobiegu.

Nasz nowy Punkt-Roller do masażu twarzy, zaopatrzony miękkimi ssawkami kauczukowymi, pobudza cyrkulację i ożywianie skóry, usuwa nadmierną ilość tkanki tłuszczowej podskórnej, napełnia i wzmacnia mięśnie twarzy. Cera drogą naturalną dzięki silnemu przekrwieniu oraz odżywieniu staje się świeżą, młodocianą, gładką i czystą. Wzmoczony krwiobieg i przekrwistość objawia się w 1—1½ godziny po masażu i tutaj leży wielki sukces naszego Punkt-Rollera. Cena zł. 16.50. Punkt-Roller do masażu twarzy jest do nabycia we wszystkich składach, sprzedających Punkt-Rollery.

**B. PRUSIEWICZ, POZNAŃ, Młyńska 9b.**



### JAK ZACHOWAĆ ŚWIEŻĄ I PIĘKNĄ CERĘ?

Każda z Pań pragnęłaby zawsze wyglądać świeżo i pięknie. Niema w tem nic dziwnego. Używają w tym celu różnych środków. Tylko poważna fabryka potrafi dać artykuł wypróbowany i naprawdę skuteczny. Takim właśnie środkiem jest „Płyn SIMI” — Berlińskiego Laboratorium Kosmetycznego. „Płyn SIMI” usuwa zużyte soki z naszej skóry i powoduje wzmoczony dopływ świeżej limfy z głębszych tkanek podskórnych, przez co skóra nasza bardzo szybko ożywia się i odmładza, giną wszelkie fałdy, zmarszczki, wągrzy i t. p. „Płyn SIMI” można polecić, jako preparat istotnie pierwszorzędnej wartości.

Dr. R.

Do nabycia w składach aptecznych i perfumerjach.  
Generalne przedstawicielstwo na Polskę i w. m. Gdańsk:

Zakł. przem. chem.-farm. „PROTON”,  
ul. Św. Stanisława 9-11. Tel. 203-34.